ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO KULTURALNY

ROK III Nr 48/127 — Londyn, dnia 27 listopada 1949 — CENA 1 sh.

MARIA WINOWSKA

„PRZEKAŻCIE TO MOJEMU LUDOWI"

SŁAŁY się jeszcze w dolinie rańtuchy mgieł, gdy rosochate szczyty, kapryśnym wieńcem okalające klasztor, rozgorzały złotem wschodzącego słońca. Cienie, zaczajone w wykrotach, pierzchały jak nietoperze przed zwycięską inwazją światła. Powietrze, przejrzyste i rześkie, niosło jak skrzydła. To też pątnicy niewyspani i zmordowani wczorajszą mitręgą z wielkim zdziwieniem odkrywali w sobie niespodziewane rezerwy sił i śpieszyli hurmą na ranne msze, obwieszczane sygnaturką. Tłok był tak wielki, że księża od świtu, bez przerwy, naprzemian, rozdawali komunie.

Jak paciorki różańca snuły się wzdłuż stromej serpentyny czarne centki, rozrastające się stopniowo w pokraczne dziwadła, w których oko, zaprawione rychło rozeznawało srodze objuczonych i podobnych fantastycznym rozgwiazdom — harcerzy. Miły Boże, czegoż nie dźwigali w rogatych plecakach! Wszystkie juki wakacyjne: toż la Salette była im tylko etapem... Wślad za nimi ludność wsi okolicznych, od świtu atakująca srogą wspinaczkę. Matka Boska Zielna mobilizuje co rok całutką okolicę, wierną stuletniej tradycji,

W kościele tłok coraz większy. Dawno nie widziałam tylu i tak serdecznie rozmodlonych twarzy. To prawda, że święta góra skupia elitę Francji, ale już sam fakt, że stać ją na tak żarliwy sztab, rokuje szarym masom nielada jakie szanse. Biskupi wierzą w odrodzenie — pod znakiem, wpływem i orędownictwem Marii.

Wychodząc z kościoła sięgam nie liturgicznym zwyczajem po wodę święconą, lecz oto już mnie uprzedza i podaje z uśmiechem umoczone palce wyspana, różowa, tryskająca zdrowiem i radością towarzyszka mojej celi:

— Jak to dobrze, że panią odnalazłam, i że mogę podziękować. Taka byłam zmęczona i tak się wyspałam. I to dzięki pani. Nawet nie słyszałam kiedy pani wróciła. I przepraszam za kłopot. Nazywam się Monika R., proszę nazywać mnie po imieniu! Tak tu ślicznie i tak mi jasno na duszy, to mi pewnie mamusia wymodliła...

Przerywa jej głos tubalny od ołtarza: „O godzinie dziewiątej, w świętej kotlinie, opowieść objawień. Punktualnie o godzinie dziewiątej"...

Monika wsuwa mi bezceremonialnie rączkę pod ramię:

— Pójdziemy, prawda? Mówiła mi Agnisia, moja koleżanka, że w wielkie święta zawsze ksiądz rektor opowiada i tak do serca trafia, że ludzie płaczą...

A więc jest zasługą Moniki, że poszłam o dziewiątej do świętej kotliny, wraz z całą chmarą pielgrzymią, choć w duchu byłam przekonana, że nikt mi nic nowego o la Salette nie powie: czyż nie czytałam na ten temat całego szeregu książek? Pozatem — co tu dużo gadać: nie lubię kazań.

I oto — jeden raz więcej — pycha moja dostała po nosie.

Siadłam na zboczu, na trawie, wśród ogromnej i coraz to narastającej rzeszy. Kotlina, oblepiona wielobarwnym tłumem, przypomina olbrzymi, wzorzysty kielich. Każdy siadał, jak mógł albo tkwił, stojąc. Niejeden pątnik próbował przejść mimo, ale przykuty urywkiem jakiegoś zdania, akcentem, głosem mówcy przystawał na chwilę i już zostawał — do końca. Pod koniec opowiadania słuchał, kto żyw.

Misjonarz, cieszący się tak wielkim wzięciem, ma niewątpliwie talent krasomówczy, głos miękki, gorący, o bogatych rejestrach odcieni — ale nie tym „bierze". A raczej, mając doskonały instrument, gra na nim nie jako wirtuoz tylko, lecz, jak mistrz. Z pełności serca, z głębi najżarliwszego przekonania. „Bierze", gdyż najwidoczniej sam przeżywa najistotniej każde słowo, angażuje się bez reszty w każde zdanie; mówi jak ktoś, kto by gotów na dowód życie swoje dać; nie kaznodzieja, lecz świadek.

W tym, co mówi nie ma ani śladu taniej retoryki. Wielka prostota, bezpośredniość, powściągliwość. Coś jak przecudna bajka dla dużych dzieci. Nad tajemnicami przerzuca mosty olśniewających skrótów, przesadza je żwawym tempem, by cisnąć, z przeciwległego brzegu, bogaty snop świateł, ku nowym bieży, by oswoić je z kolei... Po pięciu minutach nikt nie wątpi, że można oddychać, pełnymi płucami, tylko w klimacie nadprzyrodzonym. A przecież mówca nikogo nie stara się przekonać, nie stosuje ani jednego „chwytu" apologetycznego: po prostu opowiada, fakty, konkretne, określone. Ale czyni to w taki sposób, że słuchacze w i d z ą, jak na taśmie przedziwnego filmu każdy, najdrobniejszy szczegół, odkrywają sens słów zaskrzepłych w rutynę, piją pełnym haustem niewysłowione piękno Bożego dzieciństwa...

Gdyż przecież jest to historia dla dzieci, o dzieciach...Żeby jednak tym jaśniej rozbłysła, spróbujmy wpierw podmalować tło epoki. Pokażmy rany świata sprzed stu lat, nad którymi Pani świata tak gorzko płakała...

I oto jest genialny a tak prosty jak jajko Kolumba chwyt gawędziarza. Wszystkie niemal książki o la Salette jakie znam, abstrahują zupełnie od momentu historycznego, który sprowokował niebieskie nawiedziny...

Mówca jest mistrzem nielada w szkicowaniu syntez i chwytaniu na gorącym faktów—symptomatów. Ma węch historii i tropi nim, jak wyżeł zdarzenia znamienne. Cytuje — bez komentarzy. Wymowa faktów jest aż nazbyt druzgocąca, mówi sama przez się!

Rok 1846: u zwrotnicy dziejów. Francją rządzi opasła, przegniła burżuazja. Jej hasłem i bożyszczem — pieniądz: słynne „Enrichissez-vous" (bogaćcie się) — Guizot'a, rzucone w Izbie poselskiej. Na tronie — ambitna kukła. Z okrucieństwem proroka — mściciela Léon Bloy przytoczył kiedyś, na podstawie prasy współczesnej jak to „zabawiali się dnia onego *) ich królewskie moście, czekając na wieczorne iluminacje..." U góry złoto i rozpusta — u dołu potworny wyzysk. W kilku scenach, skreślonych przejmującymi skrótami, mówca unaocznia dolę ówczesnego robotnika. Niejeden szczegół zapada w pamięć, jak oścień. Przykład: specjalne, drewniane aparaty dla małych, pracujących dzieci, by podtrzymać ich nóżki słaniające się po ośmiu godzinach na stojąco, w nieprzewietrzanych tkalniach... Ozanam, Lacordaire, Montalembert protestują daremnie, odwołują się daremnie do zasad najelementarniejszej sprawiedliwości... U góry chrześcijaństwo jest nieraz tylko fasadą i wygodnym parawanem dla najpotworniejszych krzywd. U dołu, uciśnione masy widzą w chrześcijaństwie monopol i religię „bogaczy", topią je w nienawiści ku tym, którzy ich tak okrutnie wyzyskują. Poganieją całe połacie Francji. Marx pisze swój manifest...

Trzeszczą przyciesie starej Europy, rodzi się w bólach nowy świat. A chrześcijanie? Gdzie są chrześcijanie? Jaki ślad znaczą w dziejach? Czyż nie o nich to powiedział twardo Pius XI, że mają na sumieniu śmiertelny grzech, gdyż oni to „stracili klasę robotniczą", ukazując jej zamiast Ewangelii — karykaturę chrześcijaństwa?

Literacka awangarda Francji głosi agonię Kościoła. Stendhal radzi przyjacielowi, żeby przyśpieszył podróż do Rzymu, gdyż warto zobaczyć „ostatniego papieża", niczem, zabytek muzealny. Wolnomularze organizują w Wielkie Piątki „kiełbasiane orgie" („au saucisson"), częstując gratis złakomioną biedotę. W kołach oświeconych o Bogu się nie mówi, a gdy padnie Jego Imię „razi jak dysonans". Brak powołań, wzrasta liczba parafii nieobsadzonych. Sprawdza się gorzka przepowiednia świętego proboszcza z Ars: „Zostawcie wieś bez księdza: za dziesięć lat kłaniać się będą bydlętom..."

Zwykliśmy wspominać „dobre, dawne czasy", przeciwstawiając im „złą współczesność": ale lojalne rozpatrzenie faktów, skłania nas niejednokrotnie do sądów mniej optymistycznych... Europa 1846 roku chorzała ciężko i nie dziw, że zbiegali się zewsząd lekarze, także samozwańcy, z receptami i driakwiami.

Ran nie wyleczy się plastrami! Nie zażegna się ropienia bandażem! Błędem reformatorów nie to było, że szukali lekarstwa na panoszące się zło, ale że ich lekarstwo nie było dość radykalne. Że ich diagnoza prześlizgiwała się po wierzchu zjawisk, nie sięgając sekretnego źródła choroby: w sercu człowieka. Tam bowiem, a nie gdzieindziej, lęgną się kłębowiska żmij, wypełzających jadem, zdradą, nienawiścią, krzywdą...

Kto chciałby uleczyć chory świat od zewnątrz tylko, nie od wewnątrz, ten może stłumi zło, drakońskimi cięciami, lecz po to tylko, by, zaczajone, wybuchło gdzieindziej ze zdwojoną siłą. I ta jest tragedia rewolucji li tylko społecznych: jakżeż naprawi rzecz publiczną, kto nie umie zrobić porządku we własnym domu? Jakże wyleczy innych, kto na własną chorobę nie znalazł lekarstwa?

Ten jest głęboki sens i cel objawień w la Salette: ugruntować spowrotem człowieka wykolejonego na jedynym fundamencie, który gwarantuje trwałość wszelkiego budowania: na Bogu. Przywrócić od wewnątrz utracony ład.

Matka Boża jawi się w fartuchu, jak skrzętna gospodyni, owa „mulier fortis" opiewana przez liturgię, która swą cichą zapobiegliwością o wszystko dba, wszystko przewidzi, na wszystko znajdzie lekarstwo.

Pobiły ją dzieci znarowione: czyż każdy grzech nie jest jednym z siedmiu mieczy, które Jej przepowiedział prorok Symeon? Czyż zło świata nie godzi prosto w Jej Serce niepokalane? Więc siada na kamieniu, opiera łokcie na kolanach, kryje twarz w dłoniach i płacze... Jeśli słowa nie pomogą, może przecież pomogą łzy?

O chytrości niewieścia, przez łaskę wyprzeźroczona, lecz nie unicestwiona! Ile dusz, najszlachetniejszego gatunku, Płacząca Pani zdobyła, podbiła, na amen wywłaszczyła właśnie tymi łzami wszechpotężnymi! Nigdy dotąd teologia maryjna nie znalazła walniejszego argumentu dla wspaniałego skrótu, w którym spina, niby klamrą bezcenną, dwa przeciwieństwa: „Omnipotentia supplex"— „W s z e c h m o c b ł a g a l n a". Wiemy, jaka jest postawa błagalnic. Uwiecznił ją Ajschilos w jednym ze swych najsurowszych dramatów... I łzy, płynące na Świętej Górze walczą niejako na dwa fronty: z krnąbrnością dzieci i sprawiedliwością Ojca... „Ileż to czasu za was cierpię"...

Dziwili się poniektórzy, że grzechy, wyrzucane przez Płaczącą Panią, są tak mało... efektowne. Cóż właściwie tak złego robi ten, kto na Mszę św. w niedzielę nie chodzi lub klnie? Kto pacierza nie mówi i w piątki nie pości? Czyż nie bardziej wypadało piętnować zbrodnie bardziej „namacalne" jak wyzysk społeczny, krzywdy, fałsz?

Pani w fartuchu, dobra gospodyni, nie zatrzymuje się na powierzchni, sięga sedna rzeczy. Jak już wymieść śmiecie, to także po kątach! Cóż bowiem jest powodem pleniącego się namacalnie zła, jeśli nie fakt, że człowiek odwrócił się od Boga i o własnych siłach wydołać nie może, „nie to czyni, co chce, ale to, czego nie chce"? Kto chce dawać, musi mieć, musi brać: czymżeż zaś innym jest danina z czasu, którą zastrzegł sobie Bóg, jak nie dawaniem Mu okazji dawania, jak nie upustem dla tej szczodrobliwości istotnej („bonum diffusivum sui..." *), której świat zawdzięcza istnienie, a którą człowiek może sparaliżować swoją złą wolą?

Dała Matka Najświętsza sporo dowodów swoich, że tak powiem, „zapatrywań demokratycznych" w ciągu ostatnich stu lat. Jawi się malcom ze wszech miar proletariackim i tak, jak w la Salette, obciążonym nawet pewnym dziedzictwem nędzy. C h m u r n a i boleśnie zamknięta w sobie Melania, niedożywiona: „mając lat szesnaście, wyglądała na dwanaście" — przypomina nam tak bardzo dzieci z suteren! I nawet jej późniejsza kariera duchowa, zahamowywana tylekrotnie i nigdy w pełni świętością nie rozkwitła, tłumaczy się w dużej mierze tymi obciążeniami. My wiemy, że jedną z kardynalnych zasad katolickiej doktryny jest współpraca

*) t. j. 19 września 1846 roku.

*)Św. Tomasz: Dobro jest rozlewne i udziela siebie.

SWIĄTECZNY NUMER »ŻYCIA«

Natychmiast po ogłoszeniu przez nas zapowiedzi *o podwójnym świątecznym numerze ŻYCIA*, zaczęły napływać zamówienia na dodatkowe egzemplarze zarówno od Kolporterów jak i od Czytelników, którzy zamawiają ten numer jako prezent świąteczny dla swoich znajomych i krewnych. Do tego numeru ŻYCIA obiecali artykuły, opowiadania i szkice następujący autorzy:

Jan Bielatowicz, I. M. Bocheński, O.P., Maria Czapska, Józef Czapski, Antoni Cwojdziński, Władysław Folkierski, Stanislas Fumet (przekład autoryzowany Marii Krzysztoporskiej), Józef Kisielewski, Zofia Kossak, Teresa Skórzewska, Wit Tarnawski, Tymon Terlecki (przekład fragmentu „Misterium Swiętych Niewiniątek" Charles Péguy), Jan Tokarski, Wojciech Wasiutyński, Maria Winowska, Cyryl Wodziński, X. Marcin Wojciechowski, Andrzej Zyndram. Ponadto ukażą się wiersze następujących poetów: Edward E. Chudzyński, Henryk Mirzwiński, Beata Obertyńska, Bronisław Przyłuski, Józefa Radzymińska, oraz przekłady z poetów hiszpanskich Józefa Łobodowskiego.

Mimo podwójnej objętości — cena egzemplarza tylko 1/6. Prosimy o wcześniejsze zamawianie dodatkowych egzemplarzy celem ustalenia nakładu.

łaski z naturą, jakoże łaska natury nie niweczy, lecz dopełnia. To też tam, gdzie istnieją skazy naturalne, łaska nie ma czasami, że tak powiem, o co się zaczepić, brak jej potrzebnego podłoża, by zapuścić korzenie. I dlatego ta zasada jest dla katolików groźnym sprawdzianem ich odpowiedzialności społecznej. Człowiek głodujący z mojej winy może być z mojej winy niedostępny łasce!!

Płacząca Pani wybiera Melanię z jej wszystkimi obciążeniami zagłodzonej sierotki... i wybór ten starczy za manifest! Ale słowa Jej sięgają dalej, głębiej, do sedna rzeczy, do źródła zła; mają patos biblijny trenów Jeremiasza.

„Jeśli lud Mój się nie nawróci..." TU tkwi problem. W nawróceniu. Zdradzając Boga, człowiek zdradził s i e b i e, stracił kontakt z rzeczywistością: w sobie i poza sobą. Toż grzech w samej swej istocie jest „odwróceniem od Boga": „aversio a Deo" i jedynym nań lekarstwem jest gwałtowny zwrot wstecz, karkołomny wiraż na 180 stopni, to, co teologia zwie „nawróceniem: conversio". Czymżeż zaś jest ta pokuta niemodna, do której Matka Boża tak uporczywie zapędza krnąbrne swe dzieci? Słowo łacińskie: poenitentia, jak i polskie pokuta ma posmak bierny, szary, najeżony negacjami, porożniony z życiem. Nie tak brzmi mocny, dynamiczny, pełen męskiego rozmachu, oryginalny termin grecki: METANOIA. Pokuta, którą głosi Jan Chrzciciel, a potem Chrystus — to w pierwszym rzędzie owa „zmiana usposobienia, nastawienia, orientacji, myśli", jaką sugeruje oryginał. Że nie obejdzie się przytem bez pewnego gwałtu, zadanego naturze, bez zabiegów chirurgicznych, likwidujących nieraz boleśnie chore odrośle — to inna sprawa. Ale nie w tym sedno rzeczy. Operacja nie poto jest, by ciąć, ale poto, by ratować zdrowie zagrożone. Takie „zło konieczne" na okup o wiele cenniejszego dobra! Podobnie w pokucie nie aspekt negatywny przeważa, ale aspekt pozytywny: NAWRÓCENIE.

Niemowlę, które by bojkotowało mleko matki, nie ma wielkich szans zdrowia i rozrostu. Czymżeż zaś jest człowiek dorosły, plecami od Boga odwrócony, jak nie głupim brzdącem wymieniającym źródło wody żywej na mętne cysterny? A jeśli słowa nie trafią mu do rozumu, czyż nie dość ma lekcji poglądowych? Czyż nie widzi, jak wygląda raj, który stara się budować bez Boga lub wbrew Bogu? Kiedyż pojmie, nakoniec, jak mu trudno obejść się bez Boga?

Każdy fakt, uwypuklony przez misjonarza, nasuwa mi nowe refleksje, skłania do śmielszych konkluzji. Dowiaduję się oto po raz pierwszy, (a jest to rezultat żmudnych badań w kronikach współczesnych i nielada erudycji, którą mówca, jak typowy Francuz, umie kryć pod stylem swobodnym i lekkim), że przepowiednie Matki Bożej sprawdziły się dosłownie i jak najdokładniej: rok 1846—47 był rokiem głodu. Zboże gniło na pniu. W tym właśnie czasie pojawiła się po raz pierwszy we Francji epidemia winnic, filoksera, która w ciągu paru lat tak wielkie wywołała spustoszenia, że trzeba było sprowadzać z Ameryki nowe sadzonki. Zaczęły się masowe ruchy emigracyjne (zwłaszcza w Irlandii), wywołane głodem. Malutkie dzieci chorowały i umierały na tajemniczą drżączkę: po dziś dzień odprawiają się w Belgii procesje pokutne, ustanowione podówczas, by zażegnać zarazę...

Jeśli w pierwszą rocznicę objawień ze wszystkich kątów Francji a także sąsiednich krajów zbiegło się na Świętej Górze przeszło 80.000 osób— niektóry kronikarze podają 100.000 — dowód w tym oczywisty, że orędzie rozgłaszane przez pastuszków trafiało do serc i do przeknania, zataczając kręgi coraz szersze i potwierdzane — faktami.

„Pierwszym i najznamienniejszym cudem la Salette — pisze O. Boissan — było nawrócenie calutkiej okolicy, tak radykalne, że po roku proboszczowie nie poznawali własnych parafian. Kto z nabożeństwa, kto z ciekawości wspinał się na górę świętą — wracał „podszewką odwrócony": w dwa miesiące po objawieniu biskup Grenoble otrzymuje raport od władz cywilnych diecezji „że na palcach byś zliczył mężczyzn, którzy nie byli na górze, niewiast mniej chadza, jakoże droga trudna"... Nawet śnieg i dostęp coraz trudniejszy nie zdołały zahamować rozmachu. Mnożą się cuda u źródła, które w dzień objawienia znowu bić zaczęło. Głosem stłumionym od wzruszenia misjonarz mówi: „Jeśli stoję tu przed wami, w tej sutannie, to dlatego, że jeden z pierwszych cudów otarł się o moją rodzinę, o mój dom. Odtąd każde pokolenie daje Matce Bożej misjonarza".

Płacząca Pani powierzyła dzieciom sekret, każdemu z osobna. Spisały go mozolnie i przesłały do Rzymu. Zapytany, papież odpowiedział:

— Kościół zastrzegł sobie tajemnicę: to jedno mogę wam powiedzieć, że kwintesencją orędzia są słowa Ewangelii: „**jeśli pokuty czynić nie będziecie, wszyscy pomrzecie...**

Od czasu objawień w la Salette minęło sto lat: całe stulecie ściele się u stóp Płaczącej Pani, jako przejmujący argument prawdziwości Jej słów i człowiek, który wzgardził miłosierdziem, staje się łupem sprawiedliwości wpośród coraz sroższych prób głodu, ognia i wojny...

Orędzie la Salette ma charakter uniwersalny. Dwa razy Matka Boża poleciła pastuszkom: „Przekażcie to, moje dzieci, c a ł e m u mojemu ludowi". A więc każdy z nas winien być misjonarzem Przeczystych Łez.

Łaska świętej Góry musi dalej z nami iść, by zarazić świat..."

Mówca umilkł, spuścił głowę, jakby szukał, daremnie, dalszych słów. Nikt się nie ruszył, jakby jakiś urok padł na zasłuchany tłum. Misjonarz spojrzał wokół powiedział, uśmiechając się, stłumionym głosem:

— Tyle miałem wam do powiedzenia. A teraz pójdziemy na sumę...

Monika przytuliła się do mnie mocniej, miała twarzyczkę zalaną łzami:

— I pomyśleć, że moja mamusia Ją widzi, a może nawet z Nią rozmawia... prawda, proszę pani?

Maria Winowska

JANUSZ RAKOWSKI

KAPITALIZM — KOMUNIZM — KATOLICYZM SPOŁECZNY

III. PRÓBA ODPOWIEDZI

Chrześcijaństwo a systemy ekonomiczne

UWAŻNEMU czytelnikowi naszych poprzednich rozważań nie uszło z pewnością uwagi, że pierwotnie postawione zagadnienie „Kapitalizm — Komunizm — Chrześcijaństwo", zgodnie z tym, co powiedzieliśmy na wstępie o niemożności porównywania rzeczy nieporównywalnych, zmieniliśmy na zagadnienie „Kapitalizm— Komunizm— Katolicyzm społeczny". *)

W istocie rzeczy, po zapoznaniu się z systemami ekonomicznymi i ich klasyfikacją, nie wydaje się rzeczą możliwą porównywanie jednego z dwóch skrajnych i teoretycznych systemów ekonomicznych, indywidualizmu i kolektywizmu, czy też jakiejkolwiek w granicach tych systemów leżącej konkretnej formy gospodarczej, z chrześcijaństwem. Po pierwsze dlatego, że pojęcie chrześcijaństwa jest szersze od pojęcia systemu ekonomicznego; chrześcijaństwo w ogólności, a katolicyzm szczególnie, nie są to tylko kościoły, organizacje religijne, ale wielkie światopoglądy, obejmujące w liniach generalnych całokształt zagadnień traktowanych niekiedy oddzielnie w religii, filozofii czy innych naukach społecznych. Po drugie — chrześcijaństwo, jako ten światopogląd, jest historycznie wcześniejsze od kapitalizmu z jednej i jego zaprzeczenia— socjalizmu, z drugiej strony. Tworząc w 18 i 19 wieku zręby swych systemów ekonomicznych, kapitalizm (indywidualizm) i socjalizm (kolektywizm) musiały wyjść z pewnych przesłanek ogólnych, podbudowując się własną filozofią, usiłując stworzyć własny światopogląd, niezależny od dominującego w średniowieczu i do późnego okresu czasów nowożytnych światopoglądu katolickiego. Kapitalizm znalazł tę podbudowę w etyce utylitarnej, socjalizm, w skrajnym swym skrzydle, wylądował na bezbożnictwie i braku jakiejkolwiek etyki społecznej.

Będąc historycznie wcześniejszym, światopogląd chrześcijański siłą rzeczy musiał zapładniać wszystkie te ruchy, które usiłowały objąć po nim spuściznę i zorganizować świat na własny sposób. Jeśli ruchy te odnosiły większe lub mniejsze sukcesy, to tylko dlatego, że Kościół katolicki, opierając się na zasadzie „oddajcie Bogu co boskie a cesarzowi co cesarskie" nie silił się nawet na rozwiązanie kwestii ekonomiczno-socjalnej w jej całokształcie przez stworzenie w tym zakresie jakiegoś własnego systemu. Pierwotne chrześcijaństwo nazywa się czasem „komunizmem", mówiąc, że był to „komunizm" dóbr spożycia, a nie środków produkcji (wspólnota spożycia a nie wytwarzania). „Do trzeciego stulecia — pisze zagorzały obrońca systemu indywidualistycznego, Austryjak Ludwik Mises („Die Gemeinwirtschaft") — chrześcijaństwo służyło jednocześnie tym, którzy wspierali ówczesny każdorazowy porządek społeczny i tym, którzy go chcieli przewrócić. Oba odłamy z tą samą niesłusznością powoływały się na ewangelię.. I dziś nie jest inaczej. Chrześcijaństwo walczy z socjalizmem i popiera go".

Katolicyzm społeczny.

W odróżnieniu od religij i światopoglądów martwych, jak Islam, religia żydowska, — chrześcijaństwo katolickie — jest religią żywą. W systemie etyki społecznej, którą tworzy Kościół katolicki, są dogmaty, oparte na niewzruszalnych kanonach wiary, oraz sprawy na które pogląd Kościoła ewoluuje z życiem. Nowoczesny Kościół różni się też tym od średniowiecznego, że musi ewoluować w swych poglądach na sprawy społeczno-gospodarcze, gdyż musi stale walczyć o swą egzystencję.

Nie inaczej też, jak w drodze tej żywej ewolucji narodził się k a t o l i c y z m s p o ł e c z n y. Pojawił się on dopiero w r. 1891 jako nauka (doktryna, system), wraz z wiekopomną encykliką papieża Leona XIII „Rerum novarum". Aby nauka ta mogła narodzić się, pisze Henri Guitton („Le catholicisme social", Paryż, 1945) trzeba było, aby nędza robotników ukazała się na raz przeraźliwie głęboka, fatalna i niezasłużona. Trzeba było, aby nowe umysły odczuły bardziej boleśnie jeszcze w ich głębi dobroczynny niepokój. Wszystkie te warunki spełniły się na przestrzeni lat 1871 — 1891".

Nie tu jest miejsce wykładać zasady tej nauki, znane czytelnikowi pisma katolickiego. Jednakże trzeba podkreślić kilka zasadniczych rysów tej nauki, jeśli chce się ją zestawiać z innymi doktrynami, jak kapitalizm i socjalizm, między które nauka ta weszła, zajmując między nimi stanowisko środkowe. To dopiero, jak mi się wydaje, jest droga do odpowiedzi na pytanie, który z tych dwóch skrajnych światopoglądów, rozważanych w ich formie teoretycznej, jako system ekonomiczny, bliższy jest Katolicyzmowi Społecznemu, (nie chrześcijaństwu, jako konstrukcji światopoglądowej szerszej, ale właśnie Katolicyzmowi Społecznemu).

Uważam, że tak właśnie postawione zagadnienie, jest postawione prawidłowo. Nie przeszkadza, że katolicyzm społeczny, jako system społeczno-gospodarczy, jest późniejszy od kapitalizmu czy komunizmu. Jest on — możnaby powiedzieć — spóźnioną emanacją światopoglądu chrześcijańskiego w dziedzinie spraw społeczno-gospodarczych, światopoglądu, który, jest kolebką całej naszej kultury zachodniej i który, jak zaznaczyliśmy, zapłodnił oba skrajne systemy, które z kolei stanęły z nim w ukrytej lub otwartej walce i zmusiły Kościół katolicki do stworzenia wspomnianej emanacji.

Zręby światopoglądowe katolickiego systemu ekonomicznego

Chrześcijański system gospodarczy, a lepiej mówiąc, jego znana postać, katolicyzm społeczny, nie wyczerpuje się tylko w ustosunkowaniu się do zagadnienia prywatnej własności, co właśnie wysunięte zostało na plan pierwszy w polemice między pp. Wasiutyńskim i Tokarskim. Jak każdy system ekonomiczny, również Katolicyzm społeczny wychodzi z pewnych przesłanek, ogólnych (motyw ludzkiego działania) oraz ma swoje zasady organizacyjne i pogląd na drogi i środki rozwiązywania bolączek społeczno-gospodarczych.

Fundamentem katolickiej nauki społeczno-gospodarczej jest związane ściśle z chrystianizmem p o j ę c i e c z ł o w i e k a (H. Guitton). Osoba ludzka, człowiek, jest tu uznany i respektowany jako taki. Nie jest on ani „indywiduum" (indywidualizm) ani „cząstką całości" (socjalizm); człowiek jest tu i jednym i drugim. Podobnie jak własność prywatna, która posiada w systemie Katolicyzmu społecznego nie tylko aspekt indywidualno-gospodarczy, ale i aspekt społeczny.

Człowiek jest stworzony z ciała i duszy. Nie jest on — jak mówi Pascal — ani aniołem ani zwierzęciem. Jest on istotą szczególną, którą Bóg rzucił do życia, aby zrealizować coś z jego nieustannej twórczości i którą ma do niego powrócić w blasku pełnego światła. Człowiek ma kochać innych „jak siebie samego". Kochać innych — to przede wszystkim respektować ich. Człowiek istnieje tylko w społeczeństwie i przez społeczeństwo. Będzie osądzony po swym postępowaniu wobec innych. Gdy indywidualizm i socjalizm w swych systemach filozoficznych utrzymują, że człowiek jest z natury „dobry", a tylko warunki zewnętrzne czynią go złym, Katolicyzm społeczny zgodnie z religią katolicką wogóle przyjmuje, że człowiek, stworzony wprawdzie na obraz i podobieństwo boże, nie pozostał długo w stanie doskonałości (grzech pierworodny).

Tak pojęty człowiek działa społecznie i gospodarczo należąc do wspólnoty. Wspólnota jest podyktowana przez naturę; i n s t y t u c j a, przez którą wspólnota nabiera ciała, wypracowana jest przez człowieka. Stworzeniu tych instytucyj powinien on poświęcić swój wysiłek. Wśród nich na pierwszy plan wysuwają te, które służą ukształtowaniu człowieka jako takiego, twórcy wszystkiego, co ziemskie. Będzie to więc przede wszystkim rodzina i instytucje służące wychowaniu, wykształceniu i doskonałości człowieka. Będą to następnie instytucje służące harmonijnemu ułożeniu stosunków między pracodawcami i pracobiorcami. „Obydwie klasy są przeznaczone przez naturę do harmonijnego zjednoczenia się w doskonałej równowadze. One są wzajemnie dla siebie nieodzowne: nie może istnieć kapitał bez pracy i praca bez kapitału" (Rerum novarum). Związki zawodowe i syndykaty patronalne, ożywione ideałami chrześcijańskiej miłości bliźniego i sprawiedliwości społecznej, powiązania tych zrzeszeń zawodowych między sobą w systemie korporatywnym (Quadragesimo anno), interwencjonizm państwowy dla zrealizowania porządku hierarchicznego w społeczeństwie i zasady sprawiedliwej płacy — oto dalsze instytucje, mające służyć temu celowi.

Podobieństwa i różnice.

Nie ulega wątpliwości, że i d e a naczelną, dominującą w systemie ekonomicznym katolicyzmu społecznego jest to, co nazwaliśmy a l t r u i z m e m w sensie motywu przewodniego w ludzkim działaniu. Interes zbiorowości, a nie tylko indywidualne dobro człowieka, wysuwanie tego interesu zbiorowego przed korzyścią osobistą pojęcie s o l i d a r y z m u s p o ł e c z n e g o, a w szczególności solidaryzmu chrześcijańskiego, zbliżają niewątpliwie katolicyzm społeczny do systemów kolektywistycznych. Wielu autorów nazywa stąd solidaryzm chrześcijański i naukę katolicyzmu społecznego kierunkiem „pseudo - socjalistycznym". Zbliżeniem do systemu kolektywnego jest też przyjęta w katolicyźmie społecznym zasada autorytetu, jako zasada organizacyjna, w odróżnieniu od indywidualizmu opierającego się na zasadzie umowy. Jeśli jednak w socjaliźmie prawa człowieka wynikają z autorytetu zewnętrznego, jaki reprezentuje państwo, w ujęciu systemu katolickiego autorytetem tym jest wiara w Boga i kompleks przykazań bożych dyktujących drogę postępowania człowieka.

Gdy mowa o podobieństwach, nie należy nigdy zamykać oczu na r ó ż n i c e. O jednej z nich, bardzo ważnej, wspomnieliśmy przed chwilą. Różnic tych w odniesieniu do socjalizmu znajdziemy w systemie ekonomicznym katolicyzmu społecznego znacznie więcej. Jeśli poddalibyśmy szczegółowej analizie inne cechy charakterystyczne obu systemów, wówczas wystąpiłyby bardziej wyraźnie na światło dzienne również rozbieżności z systemem kapitalistyczno-indywidualistycznym. Jest to naturalna kolej rzeczy, gdyż nauka katolicyzmu społecznego szuka s y n t e z y w rozwiązaniu zagadnienia społecznego w oparciu o człowieka

***) Patrz ŻYCIE nr. 47/126 art. p.t. „Chrześcijaństwo - komunizm - kapitalizm".**

takiego jakim jest on w istocie, zaś indywidualizm (kapitalizm) i kolektywizm (socjalizm) stanowią dwie antytezy opierające się na całkowicie rozbieżnych przesłankach filozoficznych nie tylko między nimi, lecz również w odniesieniu do światopoglądu chrześcijańskiego, przyswajając sobie z tego ostatniego tylko to, co im było wygodne dla zbudowania systemu.

Różnice w katolicyźmie społecznym w stosunku do kapitalizmu i socjalizmu widzimy więc m.inn. w ujęciu instytucji prywatnej własności. Słusznie podkreśla p. J. Tokarski, że nauka społeczno-katolicka uznaje i prywatny i społeczny charakter własności, szuka więc i tu syntezy między dwoma skrajnymi ujęciami tego zagadnienia. Indywidualizm (kapitalizm) głosi hasło wolności osobistej i gospodarczej, podczas gdy kolektywizm (socjalizm) kładzie nacisk na zasadę równości społecznej przed wolnością. Ujęcie tego problemu w katolicyźmie społecznym jest znów odmienne. Uznaje on przyrodzoną nierówność między ludźmi i podkreśla mocno zasadę wolności człowieka (wolność pracy, wolne syndykaty zawodowe, etc.), co zbliża go pod tym względem do indywidualizmu. Ale katolickie ujęcie wolności nie ma nic wspólnego z uznaniem wolnej konkurencji bez żadnych hamulców jako najlepszej drogi zaopatrywania ludzi w dobra gospodarcze. Władza powinna respektować wolność człowieka. Ale i wolność musi się podporządkować jakiemuś autorytetowi. Instytucja jest właśnie w katolicyźmie społecznym tą ramą, wewnątrz której łączy się i autorytet i wolność. Wreszcie taka cecha odróżniająca, jak decentralistyczny czy centralistyczny system produkcji i rozdziału dóbr. Chrześcijaństwo, jako światopogląd i religia, nie dały nigdy odpowiedzi na to zagadnienie. Nie dała jej również po dziś dzień w wyraźnej i jasnej formie nauka katolicko-społeczna, ale nie ma żadnych podstaw do przypuszczeń, aby rozwiązania, jeśliby raz zostały mocno zarysowane, poszły tu w kierunku planowej gospodarki totalitarnej, cechującej wschodnio-europejskie formy ekonomiczne z Rosją Sowiecką na czele.

Konkluzje.

Z tego, co powiedzieliśmy wyżej wynika, że „kapitalizm" i „komunizm", traktowane jako systemy czy nauki gospodarcze, nie mogą być — moim zdaniem — porównywane z chrześcijaństwem, lecz tylko z jego emanacją jaką jest katolicyzm społeczny, a więc nauką (doktryną) gospodarczą Kościoła, jedynie możliwą do ustosunkowania z podobnymi naukami indywidualizmu (kapitalizmu) i kolektywizmu (socjalizmu, solidaryzmu, komunizmu).

Przy porównaniach nie można się opierać jedynie na jednym elemencie charakterystycznym dla danego systemu gospodarczego, choćby tak ważnym, jak stosunek do prywatnej własności. Pod uwagę muszą być wzięte i inne najważniejsze elementy charakteryzujące dany system, a więc — mimo wszystko — również ich założenia filozoficzne. Gdy się całokształt tych zagadnień weźmie pod uwagę, okaże sę, że system ekonomiczny kapitalizmu z jednej i komunizmu, jako jednego z rozwiązań praktycznych ogólnego systemu kolektywistycznego, z drugiej strony, wykazują zarówno cechy wspólne jak i rozbieżne z systemem katolicyzmu społecznego. Jest niesłychanie trudno powiedzieć, z którym z tych dwóch krańcowych skrzydeł, traktowanych jako czyste koncepcje doktrynalne, wiąże katolicyzm społeczny więcej cech wspólnych i z którym więcej cech rozbieżnych.

Zewnętrznie, ze względu na mocno zarysowany motyw altruistyczny i zasadę autorytetu katolicyzm społeczny należy raczej do systemu kolektywnego. Jest on też tu zaliczany przez wielu ekonomistów pod nazwę solidaryzmu chrześcijańskiego, w odróżnieniu od należących do tego samego systemu socjalizmu, komunizmu i kilku pomniejszych kierunków pseudo-socjalistycznych. W treści swojej, a w szczególności w instytucjach, które zaleca, nie ma on jednak nic wspólnego z praktycznymi i znanymi nam dotychczas realizacjami, a więc formami systemu kolektywnego. Dlatego też uważam za bardzo ryzykowne stwierdzenie, że „komunizm w swej zasadzie nie jest tak sprzeczny z chrześcijaństwem jak kapitalizm". Jeśli rozważania nasze prowadzimy w sferze czysto dogmatycznej, pomijając formy realizacyjne i konkretne, możnaby zgodziś się ze stwierdzeniem, że „kolektywizm w swej zasadzie nie jest tak sprzeczny z chrześcijaństwem jak indywidualizm". Z punktu widzenia przyjętej klasyfikacji systemów ekonomicznych, jeśli jest ona właściwa, tego rodzaju stwierdzenie uważałbym za sformułowanie poprawne.

Przypuszczam, że p. Tokarski to raczej stwierdzenie miał na myśli, gdyż między „komunizmem" i „kolektywizmem" w żadnym wypadku nie można postawić spokojnie znaku równania. Komunizm — jako idealny system ekonomiczny — nie istnieje i występować może chyba tylko pod postacią czystego kolektywizmu (idealna wspólnota produkcyjna i konsumcyjna), nie osiągalną w praktyce. To, co przyzwyczailiśmy się dzisiaj uważać za komunizm — jest to marksizm (socjalizm) w wydaniu „Leninizmu-Stalinizmu". Jest to jedna z form wschodnio-europejskiego rozwiązania koncepcji kolektywistycznej i solidarystycznej, forma napewno nie najlepsza, to też tymbardziej trzeba być ostrożnym we wszelkich porównywaniach komunizmu z chrześcijanizmem czy katolicyzmem społecznym, jeśli nie chce się wywoływać skojarzeń, mogących wzbudzać głębokie nieporozumienia.

Janusz Rakowski

ZOFIA KOSSAK

ŚWIATŁA WŚRÓD MGŁY

W CZASACH, gdy ludzie usiłowali wierzyć konsekwentnie i żyć według wiary, powołanie zakonne u jednego z członków rodziny, uważane było przez pozostałych za zaszczyt i błogosławieństwo. Wiek zeświecczenia zmienił ten stosunek, czyniąc nieodmiennie z nowicjuszki ofiarę intryg rodzinnych, lub zawiedzionej miłości; — z kandydata do klasztoru — nienormalnego idiotę. Że młoda, piękna dziewczyna może marzyć o życiu klasztornym, jak inna śni o zamążpójściu, że młody, zdolny mężczyzna widzi w zakonie rękojmię własnego rozwoju i realizację najlepszych swoich skłonności — nie mieściło się nikomu w głowie.

Dzieje ostatnich dziesięciu lat uczyniły wyłom w tych poglądach. W okresie męki i zawieruchy, paniki ogólnej i pogromu, klasztory wykazały tyle cnót społecznych, ofiarności, odwagi, spokoju, stały się dobrodziejstwem dla tylu głodnych a schronieniem dla tylu prześladowanych, że dawne uprzedzenia nie mogły utrzymać się w całości. Nie bez znaczenia pozostało również rozwijające się w tym czasie odrodzenie religijne. Zbawienny nawrót opinii dotyczył jednak i dotyczy głównie w dalszym ciągu zakonów promieniujących swą działalnością na zewnątrz klasztoru, legitymujących się rezultatami w planie doczesnym. Zakony pielęgniarskie oraz wychowawcze doczekały się rehabilitacji. Zakony kontemplacyjne o ścisłej regule odcinającej ją od świata, są po dawnemu uważane przez olbrzymią większość społeczeństwa polskiego za niepotrzebne nikomu. Pan Bóg — powiadają, — nie potrzebuje klepania pacierzy. W okresie, gdy cały naród w kraju mobilizuje swe siły do odbudowy i walki, a poza krajem do przetrwania, usuwanie się od życia jest gorsząco aspołeczne.

Przesada? — Nie. Taka istnieje opinia, a zdarza się, że słuchający jej katolik, nie znajduje innego sprostowania, niż wymijające zapewnienie,że, ostatecznie, każdy ma prawo urządzać sobie życie, jak chce...

Skoro tak mówi materialista, nie powinno to dziwić nikogo. Jest przecież owym człowiekiem z parteru, nie spostrzegającym wyższych pięter budowy. Pułap przyjmuje za szczyt. Gorzej, gdy podobnie rozumuje katolik, mówiący o sobie, że jest wierzącym i praktykującym.

Wierzysz? Wierzysz, a wywyższasz Martę nad Marię, choć sam Chrystus Pan powiedział, iż tamta lepszą cząstkę obrała? Wierzysz, a zapominasz, iż powiedziano, że porzucić trzeba ojca, matkę, najbliższych, a biorąc za pług, nie oglądać się za siebie?...

Jak dziwny czar posiada mało ponętne dla ogółu życie Karmelitanek, Klarysek, Sakramentek. Życie, gdzie doczesność zostaje sprowadzona do minimum, by rozkwit duszy mógł się tym bujniej rozprzestrzenić! Jak silnie pociąga serca wrażliwe, bezkompromisowe, pragnące oddać się w służbę tylko temu, co najwyższe, najdoskonalsze, najczystsze i nieśmiertelne! Nic ich nie zmami, nie odciągnie żadna pokusa. Nie zadowoli namiastka. Jeżeli okoliczności zewnętrzne nie dopuszczą do urzeczywistnienia ich pragnień, pozostają w świecie skrzypcami porzuconymi w drewutni wśród ciężkich szczap drzewa. Okaleczone, połamane, nie wygrają swojej pieśni. Bo nie dlatego ktoś ma złamane życie, że wstąpił do klasztoru, lecz ma złamane życie bo wstąpić do zakonu nie mógł. Miał powołanie i nie dano mu pójść za nim,

Powołanie... Ważkie słowo. Ktoś woła. Mówi: to jest twoja droga. Człowiek osiąga swą pełnię tylko wtedy, gdy drogą tą pójdzie. Sprzeciwiać mu się, to krzywdzić ciężko, bezpowrotnie.

Lecz nie jest sprawą tych uwag rozpatrywać warunki duchowego rozwoju nigdy zbyt licznych jednostek. Chodzi o rolę społeczną klasztorów kontemplacyjnych. Poświęcone wyłącznie Bogu, służą one równocześnie narodowi, społeczeństwu, ludzkości.

Odpowiedź na to pytanie musi wypaść jak najbardziej pozytywnie. Objawienie dawno powiedziało Świętym to, co uczeni odkryją dopiero niebawem, mianowicie, że myśl ludzka stanowi potęgę stwarzającą — zależnie od swego kierunku — dobro lub zło i że modlitwa, czyli myśl dobra skondensowana, rzucona wprost ku Panu Nieba i Ziemi jest najcelniejszą formą tej potęgi. Patron najczcigodniejszego zakonu, Karmelu, prorok Eliasz, groźny i nagły niby błyskawica, obalał modlitwą fałszywe bogi, modlitwą przemieniał upartą suszę w życiodajny deszcz. Modlitwą wskrzeszał umarłych. On, przed którym drżeli królowie i kapłani Baala, nie znał innego oręża, niż modły. Skuteczność modlitwy potwierdził Chrystus Pan mówiąc: O cokolwiek prosić będziecie Ojca w imię moje — da wam... Proście, a będzie wam dane... Kołaczcie, a będzie wam otworzone...

Proście... Ten otrzyma, kto prosi, domaga się, woła. Prosić Boga — znaczy, modlić się. Klasztory kontemplacyjne, twierdze modlitwy, trwają jak tyleż ramion błagalnie wzniesionych ku niebu. Modlą się w dzień i w nocy. Modlitwa jest osią ich życia, ich pracą, ich wypoczynkiem, treścią i celem istnienia.

Za kogóż modlą się ludzie, których osobiste potrzeby spadły poniżej najuboższego minimum, którzy nie stoją o powodzenie, dostatek, karierę, których nic dawno nie wiąże ze światem? O, nie za siebie, to pewna. Każda godzina poświęcona jest innym. Tym, co nie modlą się wcale, lub modlą się źle, lub zgoła o modlitwie nie wiedzą. Tym, co jak ślepcy, nie widzą grozy wiszącej nad światem.

Gdy okręt płonie, a radiotelegrafista pozornie głuchy i obojętny na wszystko co się dzieje wokoło, trwa do ostatka w kabinie ze słuchawkami na uszach, rzucając w przestrzeń swoje samotne S.O.S. mogące przynieść ratunek załodze, żaden z kolegów nie kwestionuje ważności jego pracy, nie woła: Próżniaku! Chodź gasić!

Przed blisko 400 laty św. Teresa z Avila zreformowała zakon karmelitański przywracając regule pierwotną surowość, złagodzoną w ciągu wieków. Uczyniła to na skutek wizji piekła którą dane jej było oglądać. Obraz ten był tak straszny, że w wiele lat później mówiąc o niej, Święta bladła z grozy. — Nasza reguła jest wciąż jeszcze za łagodna. — Trzeba więcej postów, więcej modlitw, więcej pracy, by wybłagać zbawienie dusz idących ku potępieniu. Oddałabym z radością własne życie tysiąc razy, byle uratować chociaż jedną z nich...

...Oddałabym własne życie... Oto sedno zagadnienia. Istota znaczenia społecznego klasztorów. Ofiara. Tajemnica ofiary niewinnej odkupującej grzechy cudze, towarzysząca ludzkości od zarania jej istnienia, od ofiarnego stosu Abla.

Przedziwne dzieje Panien Sakramentek ze Starego Miasta nasuwają się tu same przez się. Chociaż znane w całej Polsce, nie sposób o nich nie wspomnieć.

Zakon Panien Sakramentek posiada surową regułę, jest ściśle klauzurowy. „Obcy życiu" — jak zwykło się mówić. Mimo to klasztor w pamiętne dni Powstania brał bohaterski udział w walkach stolicy. Kościół płonął, klasztor zamieniony był na szpital pełen rannych. W podziemiach kościoła chroniło się kilkaset kobiet i dzieci. Sostry pielęgnowały rannych, żywiły bezdomnych i modliły się. Najświętszy Sakrament wyniesiony z płonącego kościoła umieszczony został na zaimprowizowanym ołtarzu w podziemiach, pod niskim potężnym filarem, podtrzymującym starożytne sklepienie lochu. Przed tym ołtarzem część sióstr pozostawała w Adoracji. Ponad sklepieniem szalał pożar, waliły się domy, pękały pociski.

I wtedy kilkunastu siostrom przyszło postanowienie poświęcenia życia dla uratowania miasta.

Przyszły do matki przełożonej prosić o pozwolenie uczynienia tego ślubu. Były wśród nich stare zakonnice i młodziutkie nowicjuszki. Przełożona usiłowała powstrzymać te ostatnie, lecz one nie ustąpiły i przed Najświętszym Sakramentem złożyły uroczyste ślubowanie, że proszą Boga by przyjął w ofierze ich życia wzamian za łaskę i zmiłowanie nad miastem. A inne siostry i przełożona ślubu nie złożyły. Wypadki toczyły się dalej. Dzień sądu i grozy trwał, Czynne, niestrudzone siostry zmieniały się ciągle, ta przy rannych, ta w podziemiu, tamta przy odkopywaniu zasypanych gruzem. I niespełna w dwa dni po złożeniu ślubów, złożyło się tak, że wszystkie siostry które nie ślubowały znajdowały się na zewnątrz piwnicy, a wszystkie siostry, które ślubowały, klęczały w podziemiu wokół Najświętszego Sakramentu, śpiewając „Adoremus in aeternum". — Wtedy trzy bomby lotnicze spadły równocześnie w ruinę płonącego kościoła. Sklepienie nie wytrzymało i runęło, miażdżąc ludność cywilną, co tam szukała schronienia. Lecz filar przy którym stał ołtarz, wytrzymał siłę uderzenia, a oberwane sklepienie utworzyło wokół niego niby namiot kamienny, grób piramidalny, w którym siostry pozostawały żywe przez trzy długie dni. O ratunku nie mogło być mowy, zwalone sklepienie przygniecione zostało ruinami kościoła i wieży. Nie można było odkopać, ale słyszano głosy zasypanych. Nie krzyczały, nie jęczały. Śpiewały, tak jak poprzednio: **Adoremus in aeternum...** Śpiewały wytrwale, coraz ciszej, coraz ciszej, słabiej, aż zamilkły. Trzeciego dnia już nic nie było słychać. Ofiara została spełniona i przyjęta.

Piękne, jak urywek ze Złotej legendy. A wszakże to nie jest legenda. To rzeczywistość. Obrońcy Starówki widzieli zdarzenie i słyszeli głosy. I każdy z nas, katolików wierzy, że jeśli odbudowa ukochanej stolicy postępuje z gwałtownością wiosennej burzy, z żywiołowym zapałem, który wprowadza w podziw cały świat — to także dlatego, że ofiara Panien Sakramentek została przyjęta i Bóg zezwolił, by miasto zmarłe powstało.

Ktokolwiek ofiarowuje samego siebie za innych, współpracuje z

(Dokończenie na str. 6-tej)

X. JAN ROSTWOROWSKI T. J.

TRUDNOŚCI AKTU WIARY A TRUDNOŚCI PRZECIW WIERZE

Świadomy akt nadprzyrodzonej wiary, jakkolwiek w pełni rozumny, nie może nie przedstawiać dla myślącego człowieka znacznej trudności. Trudność ta, pomijając już różnice subiektywnych usposobień, może być większa lub mniejsza zależnie od katolickiego lub niekatolickiego środowiska, w jakim się żyło i od wpływów intelektualnych, na jakie kto był wystawiony, ale trudność zawsze jest i być musi. Gdyby jej nie było, akt wiary nie mógłby być zasługującym, a on przecież, nie tylko sam jest zasługą, ale, jak naucza sobór Trydencki, jest „fundamentem i korzeniem" wszelkiego zasługującego czynu.

Spróbujmy zanalizować te trudności, jakie normalnie pokonać musi umysł inteligentnego człowieka, zanim odważy się powiedzieć Bogu i sobie to śliczne słowo: Ja wierzę, a wierzę całym sercem i bez zastrzeżeń. Potem zaś przypatrzymy się rzeczy, jak zobaczymy, bardzo różnej, tj. trudnościom, które niekiedy wkradają się do serca wiernego chrześcijanina, by akt wiary, który w jego sercu zasadniczo trwa i działa, poderwać a ewentualnie i obalić.

Na wstępie jednak winniśmy słowo wyjaśnienia, dlaczego bierzemy tu pod uwagę tylko myślących, inteligentnych ludzi, a nie prostaczków lub dzieci.

Powód, dla którego to odróżnienie zrobić musimy, nie leży bynajmniej w tym, jakoby ludzie prości mieli inny rodzaj wiary jak nasza, albo, żeby ich akt wiary nie przedstawiał dla nich żadnej trudności. Było to niewątpliwie błędem, jeżeli niekiedy i katoliccy pisarze, wielkim masom, polskiego zwłaszcza, ludu przypisywali, nie ściśle wziętą wiarę, ale ślepy jakiś i naiwny „fideizm". I prości ludzie i dzieci mają a przynajmniej mieć mogą wiarę równie szczerą i równie zbawienną, jak największy z katolickich myślicieli, tylko że ta wiara dochodzi w nich do skutku na innej drodze niż w wyrobionych intelektualnie umysłach. W pojmowaniu motywów wiary jest u nich dużo więcej bezpośredniości, graniczącej nieraz z intuicją, a nadto działa w ich duszy ze szczególną siłą ta łaska, która zawsze wprawdzie stosuje się przedziwnie do każdego człowieka, ale całkiem osobliwie umie przemawiać do serc prostych[1]). Stąd, choć i u prostaczków nie pozbawiony jest akt wiary swoistej trudności, trudność ta bywa znacznie mniejsza i mniej wyraźnie do świadomości ich dochodzi.

W umyśle do refleksyjnego życia nawykłym bywa inaczej. Motywy wiary przedstawiają się w tym mniej więcej logicznym porządku i z takim zarysowaniem konturów rozumowania, jakiego wymaga teoretyczna analiza podstaw aktu wiary. Ale też w tej samej proporcji trudności tego aktu stają przed duszą w pełniejszym świetle i większego, niż u prostych ludzi, wymagają zwycięstwa. Dla tego, chcąc tę rzecz gruntownie objaśnić, bierzemy pod uwagę jedynie ludzi wykształconych i do gruntownego myślenia nawykłych.

Otóż pierwszą trudnością od aktu wiary nieodłączną jest to, że, choć on dokonywa się w rozumie i sposobem rozumnym, jest jak się teologicznie mówi, aktem ciemnym. Umysł bowiem, jeśli należycie rozważył motywy wiary, widzi wprawdzie, że może i że powinien uwierzyć, ale rzeczy w którą ma wierzyć nie widzi nigdy. Nie widzi Boga i troistości osób w jednej Jego naturze, nie widzi Bóstwa Chrystusowego, nie widzi łaski, nie widzi całej mistycznej strony Kościoła i jego sakramentów. Motywy wiary doprowadziły człowieka logicznie do jakiejś wody, przez którą nie można już przerzucić kładki własnych rozumowań; trzeba rzucić się naprzód energicznym ruchem, umysłu wprawdzie, ale popchniętego przez wolę. Wierzymy bowiem, w myśl słów Apostoła, mocą nadziei, a nadzieja z natury swojej wymaga, żeby nie było widać tego, czego się spodziewamy. „bo, co kto widzi, czegoż się jeszcze spodziewa?" (Rz. 8, 24).

Nadto jednak nie może nie utrudniać wiary fakt, że wśród tych jej przedmiotów, które z takim wysiłkiem mamy przyjąć i uznać, spotykamy cały szereg niepojętych tajemnic.

Czy w tym życiu ziemskim ktoś kiedykolwiek zrozumiał lub zrozumie, że w jednej niepodzielnej istocie Bożej są trzy osoby realnie różne, z których każda jest tym samym nieskończonym Bogiem? Czy kto pojmie, że Chrystus w najpełniejszym słowa tego znaczeniu jest Bogiem i człowiekiem w jednej Boskiej osobie? Czy zdołamy jakkolwiek objąć umysłem tę prawdę, że w malutkiej Hostii, którą kapłan dwoma palcami trzyma, ukrywa się Ten, co świat cały piastuje w swej dłoni, nieogarniony Bóg, z ludzką naturą substancjalnie złączony? Czy mimo woli nie wzdryga się serce na myśl, że po chybionej próbie tego życia idzie człowiek na niepojętą niedolę i najdotkliwsze cierpienie, które nie skończy się nigdy?

I tutaj wszakże nie koniec trudności. Wiara wymaga bezwzględnego przyjęcia nie tylko tajemnic spekulatywnych ale i bardzo ciężkich zobowiązań moralnych. Czy małe stawia żądania w kierunku opanowania niskich, a tak właściwych naturze ludzkiej popędów? Czy lekkie są prawa normujące cały szereg najżywotniejszych zagadnień związanych z sakramentem małżeństwa? Czy nie wymaga od człowieka znacznej ofiary oskarżanie się przed kapłanem z najtajniejszych przewinień? Czy można, bez niemałego zaparcia siebie, pisać się z góry na wszystkie decyzje kompetentnej kościelnej władzy?

Wszystkie te względy, jakie wspomnieliśmy dotąd, składają się już na znaczną sumę trudności z samym aktem wiary związanych. Inny ich szereg trzyma się, rzecz dziwna, tego co stanowi konieczną do aktu wiary podbudowę, tj. motywów, które do rozumnego przyjęcia prawd objawionych doprowadzić mogą i powinny.

W tej kwestii musimy najpierw ogólnie stwierdzić, że motywy wiary, choć obiektywnie bardzo dostateczne, nie świecą nigdy jakąś oczywistością matematycznych rozumowań. Że to a to Bóg istotnie powiedział, że więc przyjmując czy objawienie wogóle czy jakąś w nim zawartą poszczególną prawdę, nie ludziom jako takim wierzę, lecz Bogu — to wypływa nie z jednej jakieś krótkiej i precyzyjnie ujętej przesłanki, ale z całego mnóstwa przeróżnych stwierdzeń, które dopiero razem wzięte składają się, jeśli wolno tak powiedzieć, na silną odskocznię do aktu: ja wierzę. Rzecz prosta zatem, że umysł, który tyle różnych rzeczy równocześnie ma ogarnąć, może się znaleźć przed nielatwym zadaniem.

Wchodzi tu najpierw historia i to historia o dwudziestu blisko wieków od nas odległa. Wyłaniają się więc kwestie autentyczności źródeł czyli, konkretnie mówiąc, ewangelii i listów apostolskich, oraz bezwzględnej wiarogodności i kompetencji ich autorów, a potem różne zagadnienia dotyczące przechowania aż do naszych czasów wystawionego przez nich świadectwa. Gdy apologetyka z tym wszystkim się upora, przychodzą dalsze pytania, co właściwie Chrystus podał jako objawienie Boże i czym prawdę nauki swojej stwierdził oraz jak zagwarantował wierną jej aż do nas transmisję. W rozwiązaniu tych zagadnień mamy do czynienia jeszcze z historią, tj. głównie z dziejami założonego przez Chrystusa Kościoła, ale mieszają się tu z historią i rozumowania filozoficzne, które w wielu wypadkach muszą mieć głos zupełnie decydujący. Że ten głos decydujący mogą mieć i w różnych sprawach mają, to dla umysłu wykształconego na filozofii chrześcijańskiej, zupełnie jest oczywiste. Ale jakże bardzo potęguje się trudność, gdy przed misternym wątkiem apologetycznych wywodów staje człowiek przesiąknięty filozofią, chrześcijańskiej koncepcji świata zupełnie obcą! Niech np. w poglądach jego zapanuje determinizm, ujmujący wszystko z człowiekiem włącznie w żelazne tryby koniecznych przemian; niech myśl jego zabłąka się albo w relatywizmie wszelkiej prawdy albo w mirażach ogólnej i bezwzględnej ewolucji; niech z góry postawi sobie zasadę, że na stwierdzenie faktów nadprzyrodzonych żadne zgoła dowody nie wystarczą — łatwo pojąć, że wyznawca tych i całego mnóstwa podobnych poglądów znajdzie się w bardzo złej kondycji do zrozumienia i przyjęcia prawd, po których, jak po stopniach podchodzi rozum aż do formalnego aktu wiary.

Jeżeli zaś do tego wszystkiego dodamy długie nieraz nawyknienie do pewnych sposobów myślenia albo znów przywiązanie do religii, którą wyznawało się od dziecka, a którą teraz trzeba by porzucić, rzecz zupełnie prosta, że powyższe trudności mogą spotęgować się do ogromnych rozmiarów. Wszak dobrze wiemy, jak bardzo ciężko było nawracającym się do prawdy najbystrzejszym umysłom i najszlachetniejszym sercom porzucić w pewnej chwili czy to anglikanizm, czy luterański protestantyzm, czy schizmę wschodnią, czy Mojżeszową wiarę, by powiedzieć sobie, że poprzednie mniemania były błędem i że pełna prawda jest tylko w Chrystusowym, rzymsko-katolickim Kościele.

A jednak, rzecz doprawdy zdumiewająca! Te trudności, jakie naszkicowaliśmy wyżej, a które w konkretnym życiu przybierają niejednokrotnie bardzo skomplikowane formy, nie były w stanie powstrzymać ludzi, szczerze szukających Boga. Ze wszystkich możliwych manowców myśli, ze wszystkich wyznań, z niemałych nawet moralnych zboczeń ciągną i ciągną ustawicznie do katolickiego Kościoła całe rzesze konwertytów, by złożyć u jego progu to wspaniałe wyznanie: Ja wierzę! Gdyby włączać w te rzesze i prostych, liczba ich, choćby w ciągu ostatniego wieku, dosięgłaby milionów, ale biorąc pod uwagę samą inteligencję ze wszech miar wybitną, doliczylibyśmy się ich nie setek lecz tysięcy.

A kto ich przymuszał do tego kroku, na który nieraz decydowali się wśród ciężkich walk wewnętrznych przez lat kilka? Czy spodziewali się w przyjęciu katolicyzmu jakichkolwiek materialnych korzyści? Czy mogli liczyć na jakąś sławę czy popularność, czy na zajęcie wybitnych stanowisk w tym Kościele, który obierali za swą nową duchową ojczyznę?

Odpowiedzi na te i inne podobne pytania nie potrzebujemy szukać ani daleko ani po omacku. Wielka część tych nawróconych do wiary prawdziwej pozostawiła nam dokładne opisy całego przebiegu i motywów tego aktu, który był nie tylko przełomem, sięgającym w głąb całego ich życia, ale niejako nowym prawdziwego życia początkiem. A z tych zwierzeń pisanych przez ludzi niemiernie różnych i narodowością i wiekiem i rodzajem wykształcenia i charakterem i temperamentem i poprzednim do prawdy ustosunkowaniem, nie tylko przebija, ale bije najwyraźniej i najdonioślej jeden ton potężny a przeczysty, a jest nim bezwględna szczerość w szukaniu Boga i dróg do Niego wiodących. To prześliczne umiłowanie prawdy inaczej wyraża Manning, inaczej Newman, inaczej Claudel, inaczej Huysmans, inaczej Chesterton, inaczej Benson, inaczej Joergensen, inaczej Szuwałow, inaczej Camelli itd., ale wszystkim wydobywają się z duszy słowa o akcentach takich, na których nie podobna się pomylić: szukałem i znalazłem i od tej pełnej prawdy, jaką mi dał Kościół katolicki, nic mnie nigdy nie oderwie.

A kiedy już raz znaleźli się w obrębie prawdziwej Chrystusowej owczarni, nie umieją nigdy dość silnie odmalować tych uczuć pokornej wdzięczności, jakie rozpierają im serca. Nie próbując tu przytaczać bardziej znanych wynurzeń konwertytów ostatnich czasów, poprzestaniemy na dwóch tylko, wymownych świadectwach. Wybitny krytyk belgijski, Leopold Levaux, kiedy po latach całych zupełnej niewiary powraca wraz z żoną do Kościoła, którym gardził, pisze do przyjaciela: „Jesteśmy już tylko dwojgiem dzieci, którym Bóg przebaczył, parą owieczek, które zgubiły się były a odnalazły. Podobnego szczęścia nie doznaliśmy nigdy jeszcze. Pokoju Jezusowy, kosztujemy twojej słodyczy! Światłości Chrystusowa, oglądamy cię i w tobie widzimy już wszystko". A Paweł Loewengard, zdolny poeta francuski, Izraelita z rodu i wychowania, po szeregu utworów, pełnych rozwiązłości i bluźnierstwa, wydaje po swym nawróceniu piękną książkę „La splendeur catholique", w której wśród wielu innych rzewnych ustępów, tak mówi się do Matki Chrystusowej: „O Maryjo! Serce moje płonie miłością ku Tobie. Ślubuję Ci dozgonną wdzięczność, wierność i miłość! Daj mi być katolickim rycerzem pióra; niech to pióro, jak miecz, broni twej czci i służy Kościołowi Boskiego Syna twego!"

Ale czy w tych wszystkich wylewach serca, których maleńkie próbki podaliśmy w tej chwili, nie zaznacza się sprzeczność z tym, co mówiliśmy poprzednio? Wszak wymienialiśmy trudności aktu wiary, a tutaj setki najinteligentniejszych i najtrzeźwiejszych a z daleka powracających konwertytów nie może się nacieszyć i nadziękować Bogu, że pozwolił im przez wiarę chwycić się Siebie!?

Nie ma sprzeczności, i owszem jest cenna bardzo nauka. Wszyscy ci odnajdujący w Kościele katolickim Chrystusa i Boga, przechodzili trudności, czasem niezmiernie dotkliwe, póki nie stanęli nad tym brzegiem, gdzie kończą się rozumowania jako takie i gdzie trzeba aktem dobrej woli przerzucić się śmiało na inną platformę, której podstawą jest nie oczywistość własnego poznania, ale zaufanie Bożemu słowu. A ponieważ w tych decydujących chwilach sercom istotnie szukającym Boga przychodzi w pomoc potężna łaska, która wszystkie poprzednie pracowite poznania oświeca nagle jasnym blaskiem niezawodnej prawdy, ten akt wiary jako taki dokonywa się nie tylko z zupełnym spokojem, ale i z rozkoszą. To definitywne wejście do Kościoła Chrystusowego, jak o sobie i współbraciach swoich mówi Benson, przeprowadza ich przez bramę, która, zrobiona „cała z jednej perły" i zaprasza wchodzących i napełnia ich w nagrodę wysiłku niewymowną radością. Po mnóstwie innych konwertytów stwierdza to tak ładnie Ernest Psichari, rodzony wnuk Ernesta Renana, który, gdy w długich mękach wewnętrznych skarżył się raz po raz: „Mon Dieu, que Vous êtes difficile"! (O Boże, jaki Ty jesteś trudny!) — u progu zupełnej wiary i całkowitego oddania, zapisuje to rzewne wyznanie: „Mon Dieu, est-il donc si facile de Vous aimer!" (Boże! — A więc łatwo jest kochać Ciebie?).

(Przedruk z „Przeglądu Powszechnego" Nr. 10, rok 1940).

X. Jan Rostworowski T. J.

(Dokończenie nastąpi)

[1]) Pięknie mówi o Bogu Mędrzec, że „z prostymi rozmowa Jego". Owa sermocinatio cum simplicibus, jak to zdanie wyraża tekst Wulgaty, oznacza właściwie, że z osobliwą łaskawością i sposobem do ich pojęcia dostosowanym, udziela Bóg ludziom prostym i światła i zachęty.

WACŁAW GRUBIŃSKI

LENIN (4)

Komedia

LENIN

Wszyscy oni już są ... osądzeni.

KARANDOWA

(milczy)

LENIN

Dzierżyński lepiej to ode mnie wyłuszczy.

KARANDOWA

Dziękuję. Idę. Przepraszam.

(potarła dłonią czoło)

Przyjmie mnie! Dziękuję.

(ukłoniła się Leninowi, odwróciła się ku Gotorpowowi i Łunaczarskiemu)

Dowidzenia.

(wyszła)

LENIN

(siadł; po chwili zagląda pod klosz swojej lampy)

Jak widno!

GOTORPOW

Polskie lampki białostockie. Nasze trofea.

LENIN

(przegląda papiery; po chwili do Łunaczarskiego)

Chcesz mi co powiedzieć?

ŁUNACZARSKIJ

Strajk.

LENIN

No?

ŁUNACZARSKIJ

Niemiła sprawa.

LENIN

No?

ŁUNACZARSKIJ

Nie tylko zecerzy strajkują. Strajk się rozpowszechnia. Strajkuje naprzykład Centromet, dziewięć tysięcy robotników. Ogółem cztery fabryki już stanęły.

LENIN

(po krótkiej pauzie)

No?

ŁUNACZARSKIJ

(milczy)

GOTORPOW

Gorkij mówił, że robotnicy zbili Zinowjewa.

LENIN

Dlatego, że Zinowjew przemawia do robotników, jak do herosów; a do nich trzeba mówić, jak do zwyczajnych ludzi. Niech nie naśladuje idioty Kiereńskiego.

URZĘDNIK I

(wszedł z przedpokoju)

Delegaci strajkujących zapytują czy mogą wejść.

LENIN

Nie.

URZĘDNIK I

(wraca po schodkach do przedpokoju i tam w głębi na progu dalekich drzwi komunikuje odpowiedź Lenina)

ŁUNACZARSKIJ

(po krótkim wahaniu)

Dlaczego ich nie przyjmiesz?

LENIN

Strajkiem zajmuje się Dzierżyński. Gotorpow zatelefonuj nadół, żeby delegację aresztowano na ulicy i zaprowadzono do Dzierżyńskiego.

GOTORPOW

(naciska odpowiedni guzik na pudle jednego ze swoich dwóch aparatów telefonicznych i mówi w słuchawkę)

Dyżurny? — Tak, Gotorpow. Gdy wyjdzie stąd delegacja strajkowa, aresztować ją na ulicy i zaprowadzić na Łubiankę. — Tak.

(kładzie słuchawkę)

LENIN

(w dalszym ciągu przegląda papiery; naciska guzik elektrycznego dzwonka)

URZĘDNIK I

(wchodzi)

LENIN

Delegacja niezwłocznie ma opuścić Kreml.

URZĘDNIK I

(wychodzi)

CHIŃCZYK

(szybko wchodzi, mijając się z Urzędnikiem I na progu)

GOTORPOW

(do Lenina, który znów pochylił głowę nad papierami)

Telegram z głownej kwatery.

CHIŃCZYK

(wyjmuje kopertę z torby skórzanej, przytwierdzonej do pasa)

LENIN

(wyciąga rękę)

CHIŃCZYK

(podaje kopertę Leninowi)

GOTORPOW

(pisze pokwitowanie z odbioru i wręcza Chińczykowi)

CHIŃCZYK

(odchodzi)

LENIN

(czytając mówi)

Biją nas z niesłychanym impetem. Dwie armie przestały istnieć. Wszystkie armaty, któreśmy otrzymali z Anglii za pośrednictwem Denikina, stracone. Wyobrażam sobie wściekłość Trockiego.

(rozlega się dzwonek telefoniczny w aparacie Gotorpowa)

GOTORPOW

(bierze słuchawkę)

Tak? — Tak. — Nocna zmiana? —

(mówi do Lenina)

Nocna zmiana robotników uchwaliła trzydniowy strajk manifestacyjny, jako wyraz solidarności z zecerami.

(w aparat)

Słucham. — Dobrze. — Tak.

(kładzie słuchawkę)

LENIN

Łunaczarskij, napisz o naszych nowych zwycięstwach efektowną proklamację, żeby rano mogła być rozplakatowana.

(podaje depeszę Łunaczarskiemu)

Rozumiesz?

Wpada Gorkij

GORKIJ

(do Lenina)

Ja w ważnej sprawie, towarzyszu, w sprawie strajku! Stała się rzecz niesłychana: delegacji strajkowej nie dopuszczają do was! delegacji strajkowej! Czy wiadomo wam o tym? Żaden rząd burżuazyjny nie pozwoliłby sobie na takie lekceważenie robotników! Cóż wy na to, towarzyszu?

LENIN

Strajk nie jest sprawą ważną.

GORKIJ

Jakto? Strajk może zdecydować...

LENIN

(przerywa)

Strajk o niczem nie może decydować...

(popatrzył zimno na Gorkiego)

Nie mówmy o strajku.

GORKIJ

Co to ma znaczyć?

LENIN

Mówmy o czym innym. Mówmy naprzykład o tych specjalnych zadaniach, które rada komisarzy ludowych włożyła na wasze barki. Niech was, towarzyszu, nic pozatem nie obchodzi. Polityka do was nie należy. Do was, towarzyszu, należy wyłącznie literatura.

GORKIJ

(dotknięty)

Przypuszczałem, że w proletarjackim państwie sowieckim każdy ma prawo głosu we wszystkich sprawach!

LENIN

(twardo)

W proletariackim państwie sowieckim przede wszystkim musi być porządek. Towarzyszu Górkij, proszę nie zapominać, że jesteś głową państwowego instytutu literackiego i tutaj, na Kremlu, winieneś zabierać głos jedynie w sprawach związanych z tym instytutem.

GORKIJ

(milczy)

ŁUNACZARSKIJ

(wychodzi na prawo)

LENIN

(do Gorkija)

Wyznaję, że zawiodłem się na waszej energji. Instytut literacko-naukowy nie pracuje tak wydajnie, jak to zapowiadał.

GORKIJ

Są po temu przyczyny.

LENIN

Nigdy literatura, sztuka i nauka nie były w Rosji, ba! na całym świecie! otoczone tak gorącą opieką rządu, jak dzisiaj w Bolszewji. Literatom i uczonym oddałem kilka wielkich domów; otrzymujecie zwiększone racje obiadowe; możecie pracować w zupełnym spokoju.

GORKIJ

Mamy mieszkanie i mamy kiepskie jedzenie; w mieszkaniu mamy mróz i mamy ciemności z powodu braku elektrycznych lampek! Pozatem czuwa nad naszymi pracami czrezwyczajka i zagląda nam do rękopisów towarzysz cenzor!

LENIN

Dawniej nie było cenzorów?

GORKIJ

Dawniej literat rosyjski mógł drukować zagranicą! Zarabiał wielkie pieniądze i był wolny! Mieszkał, gdzie chciał (ja mam willę we Włoszech), teraz mieszka, gdzie musi!

LENIN

Słyszysz Gotorpow? Towarzysz Gorkij żałuje caratu.

GORKIJ

(wybucha)

Nie caratu, towarzyszu przewodniczący! Żałuję kaloryferów, kanalizacji, elektrycznych tramwajów, kostkowych bruków, kolei żelaznych, latarni ulicznych, muzeów, pałaców, wiejskich dworów, fabryk, gospodarstw, żal mi nawet kinematografów, nawet cukierni z orkiestrą, i żal mi tysiąca innych kulturalnych i mniej kulturalnych urządzeń, któreście zniszczyli, jak wandale! jak orangutangi!

LENIN

Nic podobnego.

GORKIJ

Tak! zniszczyliście nie wiedząc po co!

LENIN

Mylisz się, towarzyszu, myśmy nie zniszczyli tych wszystkich rzeczy; zniszczyliśmy tylko kapitał, który jest twoim wrogiem.

(d.n.)

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

ANGLIA i EUROPA

Organ B.B.C. „The Listener" ogłasza obecnie cykl odczytów Roberta Birleya, tzw. „Reith Lectures", poświęconych stosunkowi Anglii do Europy i zagadnieniu unii Europy Zachodniej. Odczyty te, wygłoszone w Home Service B.B.C., dają interesujący wgląd w opinie, nurtujące przynajmniej część brytyjskich kół intelektualnych i politycznych.

„Do tej pory mamy słabe jedynie wyobrażenie o rewolucji w naszym sposobie myślenia, jaką pociągnie za sobą nasza decyzja przyłączenia się do Europy" — stwierdza Birley w pierwszym ze swych odczytów. Birley rozważa najpierw zagadnienie nacjonalizmu i patriotyzmu i stwierdza, że jedną z podstawowych charakterystycznych cech cywilizacji zachodnio-europejskiej jest ideał różnorodności. „Cywilizacja nasza stworzona została z harmonii oddzielnych tonów — przy tym oczywiście istnieje nieuniknione niebezpieczeństwo, że tony te mogą niekiedy stworzyć dysonans. Od najwcześniejszego okresu cywilizacja nasza wyrastała z godzenia konfliktów. Okresy jej największej stabilizacji, jak np. w Imperium Rzymskim, możliwe były zawsze tylko przez skłonność do tolerowania wolnego rozwoju odrębności miejscowych... Uznanie zasady różnorodności widzimy także w imperium innego zupełnie rodzaju, w Brytyjskiej Wspólnocie Narodów".

Dante marzył o unii europejskiej pod berłem jednego imperatora, my myślimy o jakiejś postaci zgromadzenia reprezentacyjnego. Jest to oczywiście praca trudniejsza; demokracja jest najtrudniejszym systemem rządu. Argumentem zasadniczym na jej korzyść jest to, że pozwala ona wszystkim choćby najbardziej odmiennym ludziom na rozwój ich rozmaitych możliwości i przyczynianie się w ten sposób do wspólnego dobra.

Zdaniem Birleya opinia, że Wielka Brytania może wystąpić jako pośrednik w zbliżeniu francusko-niemieckim ponieważ posiada w sobie pewne cechy obu tych narodów, jest powierzchowna. „Jesteśmy bardziej różni od Francuzów i Niemców, niż to nam się czasami wydaje". Niemniej — stwierdza prelegent w drugim swym odczycie — były dwa okresy w historii, w których wpływ W. Brytanii na Europę był bardzo silny; jeden przypadł na wiek ósmy, drugi na osiemnasty. W pierwszym z nich św. Bonifacy, Anglik rodem z Devonshire, przyczynił się bardzo do nawrócenia na chrześcijaństwo plemion germańskich i w ten sposób stworzył podstawy pod imperium Karola Wielkiego. W wieku XVIII brytyjskie idee wolności intelektualnej i politycznej łącznie z liberalizmem ekonomicznym Adama Smitha wywarły wielki wpływ na rozwój stosunków na kontynencie.

W wieku XIX W. Brytania — zajęta swym imperium — oddaliła się od Europy tak jak nigdy przed tym; osłabł także bardzo jej wpływ na Europę. Zanim wpływ ten odzyskamy — konkluduje prelegent — musimy wiele się nauczyć i „odnaleźć technikę rozumienia Europy".

PRZESILENIE W BRYTYJSKIM PRZEMYŚLE FILMOWYM

Prasa angielska poświęca wiele uwagi trudnościom, w jakie popadł „Napoleon brytyjskiego przemysłu filmowego" J. Artur Rank, właściciel 556 kinoteatrów i wielkiego koncernu, obejmującego dwie trzecie brytyjskiej produkcji filmowej. „Daily Mail" stwierdza, że Rank stracił na jednym z filmów 3.350.000 funtów i zwala za to odpowiedzialność na rząd. Nagłe nałożenie przez min. Daltona 75%-wego podatku na filmy zagraniczne spowodowało akcję retaliacyjną ze strony Amerykanów. Rank ze swej strony przez wzmożoną produkcję pragnął wypełnić „dziurę", wywołaną przez zmniejszenie importu filmów amerykańskich do W. Brytanii. Kiedy min. Wilson równie nagle zniósł podatek importowy, nałożony przez Daltona, ugodziło to dotkliwie w interesy producentów brytyjskich, którzy właśnie wykończyli lub mieli na wykończeniu szereg filmów. Reszty dopełnił 40%-owy podatek od rozrywek.

Tygodnik „Truth", uznając to wszystko, podkreśla jednak, że do trudnego położenia, w jakim znalazł się Rank, przyczyniły się także zbyt wysokie gaże, honoraria i inne wydatki w przemyśle filmowym.

PRAWA CZŁOWIEKA

W grudniu 1948 r. Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych przyjęło — jak wiadomo — „Deklarację Praw Człowieka", opracowaną przez Radę Społeczną i Ekonomiczną N.Z. Deklaracja ta, będąca rezultatem długich sporów i targów, jest blada, często dwuznaczna i w rezultacie jej znaczenie praktyczne jest niemal żadne. Bardziej interesujące wyniki dała ankieta, przeprowadzona niemal równocześnie w tej samej sprawie przez „Unesco". Odpowiedzi na ankietę ukazały się obecnie w języku angielskim p.t. „Human Rights. Coments and Interpretations. A Symposium Edited by Unesco" — z przedmową J. Maritaina (Allan Wingate, cena 15 sh.). Wśród odpowiedzi znajdujemy głosy zarówno pisarzy katolickich (Maritain i ks. Teilhard de Chardin), jak i liberalnych (Salvader de Madariaga, B. Croce, prof. Mc Keon) i marksistowskich (John Lewis i Czeczko).

Światła wśród mgły

(Dokończenie ze str. 2-giej)

Chrystusem, Najwyższym Ofiarnikiem. Zakony kontemplacyjne stoją w najbliższym szeregu Jego naśladowców. Może dla tym lepszego uwidocznienia tego podobieństwa tak często brak im — dachu. Lisy mają jamy, ptaki niebieskie gniazda, a Syn Człowieczy nie ma, gdzieby głowę schronił...

Czegoż potrzeba tym niestrudzonym radiotelegrafistkom z ginącego statku, by mogły do końca spełniać swoją rolę ratowniczą, nadzieją zakotwiczać łódź gnaną wiatrami, na antenie wiary rozpinać niebosiężne wezwania, rozpalać zbawcze sygnały miłości? Bardzo niewiele. Mniej, niż komukolwiek innemu. Dachu osłaniającego głowy, jadła tak skąpego i niewybrednego, że najuboższy buntowałby się przeciw niemu, — nic więcej. Ani miękkich wyściełanych sprzętów, ani rozrywek, ani sukien. Dach i chleb. Zdawać się winno, że w katolickim polskim społeczeństwie nie powinno tego zabraknąć. Tymczasem...

* * *

A już raz na zawsze skończmy z litowaniem się nad dolą tych, co dobrowolnie opuściły świat, by zamknąć się w klasztorze. Są szczęśliwe. Są szczęśliwsze od tych co w zamęcie świata pozostają. Napewno. Wystarczy spojrzeć w ich radosne, mocne i pogodne twarze.

Garść powyższych uwag podyktowało pragnienie zwrócenia uwagi społeczeństwa polskiego poza Krajem, na konieczność okazania pomocy Zakonom w Kraju. Pomocy niezbędnej, szczególnie w obecnym ciężkim okresie ich warty. Obok tego zasadniczego celu, przeciwstawienie się propagandzie materialistycznej, przedstawiającej zakony kontemplacyjne jako aspołeczne pasorzyty. Szczególnie groźną jest ta propaganda, znajdująca oddźwięk w zastarzałych nawykach myślowych wielu katolików polskich, zarówno w kraju, jak poza jego granicami.

Zofia Kossak

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

KOŚCIOŁY WE FRANCJI

Katolicki publicysta angielski Andrew Boyle opisuje w „The Catholic Herald" swoje wrażenia z wycieczki do Francji.

„Już przed tym, rzecz prosta, słyszałem o wyraźnym odrodzeniu praktyk religijnych po wojnie, spowodowanym po części przez wojenne cierpienia i niebezpieczeństwa. Ale kontrast z tym, co znane mi było sprzed lat dziesięciu, — z pustymi ławkami w kościołach, z zatroskaniem księży i z potężną obojętnością młodzieży, — był zawrotny. Młodzi ludzie zdają się tworzyć główną masę codziennych uczestników Mszy św. I większość z nich przystępuje do Komunii świętej.

Młody probszcz, którego poznałem później w nadbrzeżnym miasteczku Normandii, powiedział mi, że zjawisko to nie jest tylko monopolem Paryża: „to jest rzeczywiście powszechny, ogólnofrancuski nawrót do religii".

„ZIMNE PRZEŚLADOWANIE"

Na zgromadzeniu The Catholic Evidence Guild w Liverpool'u, któremu przewodniczył arcybiskup Downey, wygłosili przemówienia p. Colm Brogan i Ojciec Franciszkanin Agnellus Andrew, którzy obaj określili położenie Kościoła katolickiego w Anglii słowami: „zimne prześladowanie". P. Brogan stwierdził, że główne niebezpieczeństwo grozi Kościołowi w Anglii „ze strony państwa, które jest tak bardzo, bardzo tolerancyjne, że jesteśmy tą tolerancją bezmała zmęczeni". A jednak to tolerancyjne państwo stworzyło taki system ustawodawstwa skarbowego, że katolickie szkoły i szpitale się w nim duszą. Zagłada zagląda w oczy szkołom katolickim, a to może mieć na przyszłość skutki nie mniej groźne, niż ongiś prześladowania. Ostateczne zwycięstwo reformacji w XVII wieku, zresztą, zostało zapewnione w Anglii w większym stopniu naciskiem podatkowym, niż prześladowaniami.

Ks. Andrew stwierdził, że „grozi nam zagłada nie od ludzi wrogich i przewrotnych, lecz od ludzi tolerancyjnych i o szerokich poglądach... Ale uśmiech na twarzy tego, co morduje nie wiele pomaga temu, który jest mordowany".

Rzecz w tym, że otoczenie indyferentne — które właśnie dlatego jest tolerancyjne, bo odnosi się do spraw religii z doskonałą obojętnością, — czasem jest niebezpieczniejsze dla wiary od otoczenia jawnie wrogiego, ale mającego określone własne religijne przekonania.

KOMUNIZM POCIĄGA STUDENTÓW JAPOŃSKICH

Dwa prądy walczą dziś w wyścigu o zdobycie dusz japońskich studentów wyższych uczelni, a więc przyszłej japońskiej inteligencji: katolicyzm i komunizm. Niestety, komunizm zdobywa wpływ bez porównania od katolicyzmu większy. Trzecim prądem również bardzo silnym, jest zwykły hedonizm, a więc żądza powodzenia i użycia.

Japoński student jest z reguły idealistą. Dawny ideał japoński został zburzony przez wojnę i klęskę. Młodzież japońska jest spragniona nowego ideału i znajduje go najłatwiej w komuniźmie, który pociąga ją zarówno swoimi hasłami sprawiedliwości dla wydziedziczonych, jak i logiką doktryny ekonomicznej i światopoglądowej marksisto-leninowskiej.

Katolicyzm ma wśród młodzieży japońskiej o wiele mniej zwolenników, bo za mało jest ludzi, którzy umieli by go jej w należyty sposób przedstawić.

PRZYBYWA KATOLIKÓW JAPOŃSKICH

Dnia 30 czerwca 1949 r. było w Japonii 130.388 katolików, czyli o 9,4 proc. więcej, niż w roku 1948 i o 19,3 proc. więcej, niż w r. 1947.

W niektórych diecezjach przyrost odbywa się w tempie znacznie szybszym. W sześciu diecezjach przekracza on 20 proc., w pięciu jest mniejszy od 20 proc., lecz większy od 15 proc. w porównaniu do roku ubiegłego.

Wzrasta również liczba katechumenów. W roku ubiegłym było ich 15.278, w roku zaś bieżącym 19.693. W dwóch diecezjach przyrost liczby katechumenów jest szczególnie wielki: w diecezji Yokohama wynosi 182 procent w ciągu roku i w diecezji Nagoya 162 proc.

KTO Z SZ. CZYTELNIKÓW

nadesłał kwotę 4/6 na prenumeratę ŻYCIA i **nie podał** swego nazwiska? Na kopercie jest stempel pocztowy Coventry, Warwickshire, data stempla: 5 popołudniu, 8 listopada b.r.

NA FUNDUSZ PRASOWY ŻYCIA

p. **Wanda Kiwalle** wpłaciła Ł 1.
Serdecznie dziękujemy.

Administracja ŻYCIA

ZENON FALK

ZAPOMNIANA DROGA

NIEJEDNA już generacja, w niejednym społeczeństwie, była świadkiem osobliwego zjawiska: gorączkowego szukania jakichś nowych dróg mających zaprowadzić zrozpaczonych, wątpiących, znudzonych ku... prawdziwemu chrześcijaństwu, ku źródłom szczęścia i równowagi duchowej. Zjawisko to pod najróżniejszymi postaciami występowało i występuje w obecnej chwili w krajach protestanckich, gdzie wciąż na nowo, nawracającymi falami, odzywają się głosy o wyjałowieniu, zmaterializowaniu, odchrystianizowaniu oficjalnego kościoła i o potrzebe tchnięcia weń nowego ducha.

Na tym tle od czasu do czasu dokonane zostaje szczególne odkrycie: Oto mianowicie w labiryncie tych wszystkich „nowych dróg" ten i ów natknie się raptem na opatrzoną oficjalnym napisem „Nie do użytku", prastarą, **„zapomnianą drogę"**, drogę katolicyzmu. I raptem spostrzeże ten i ów, że przecie ta znana, zapomniana droga nigdy nie przestała prowadzić do celu. Ci, co z niej zeszli i zaczęli wędrować w najróżniejszych kierunkach, pozostawili za sobą owo ostrzeżenie, które ich następcy przyjęli po prostu za urzędową prawdę, nie badając przyczyn, skąd się ono wzięło. Zapomniana droga jak gdyby skryła się przed ich oczami i musi być odkrywana na nowo, wydobywana z zapomnienia i stawiana przed oczy współczesnych.

Ostatnie czasy, czasy wojny i doba powojenna przyniosły wzmożony ruch poszukiwania dróg, i nic dziwnego, że coraz więcej ludzi w krajach protestanckich dokonuje odkrycia „drogi zapomnianej".

I w Anglii i w Niemczech i w innych krajach można zaobserwować nawet w łonie protestanckiej hierarchii kościelnej pewien renesans ideologii katolickiej. Ruch ten obejmuje właściwie wszystkie warstwy, nawet koła t.zw. radykalnej inteligencji, często raczej ku ateizmowi ciążącej. Wciąż i wciąż na nowo gromady ludzi, rzucając się ku wykuwaniu jakiejś zgoła nowej drogi, dochodzą do owej starej, zapomnianej, jak to chciażby było z pionierami ruchu oxfordzkiego i jest często dzisiaj z jego kontynuatorami.

Na tym tle bardzo ciekawie zarysowuje się sylwetka jednego z bardziej znanych przedstawicieli elity umysłowej Skandynawii, pisarza i krytyka szwedzkiego Svena Stolpe.

Stoi on dziś w ogniu walki o katolicyzm w Skandynawii, z całą siłą swego pisarskiego talentu stawiąc przed oczy społeczeństwu skandynawskiemu „zapomnianą drogę". Tak właśnie nazywa się jego ostatnia książka — „Den glömda vagen" (Stokholm 1949). Sven Stolpe przeszedł przez ruch oxfordzki i doszedł do katolicyzmu. Ukazuje on teraz etapy swej ewolucji, nie odmawiając zresztą np. ruchowi oxfordzkiemu wartości moralno-społecznych, lecz konstatując, że jedyną konsekwentną linią rozwojową takiego rodzaju ruchu musi być właśnie dojście do katolicyzmu. Sam przez się nie może on zastąpić Kościoła, gdyż wtedy będzie jedynie herezją; natomiast istnieje dlań możliwość włączenia się w szeregi Kościoła, ku czemu, jak wiadomo, zrobiono już wiele kroków.

W swym rozrachunku z luteranizmem atakuje Stolpe głównie ten stan rzeczy, do którego luteranizm w jego społeczeństwie często dziś dochodzi, mianowicie zupełne „odchrystusowienie". Sedno rzeczy leży, zdaniem szwedzkiego pisarza, w tym, że albo idzie się dalej tą drogą, prowadzącą właściwie ku swego rodzaju pogaństwu, albo też — co ma m.in. miejsce w pewnych kołach skandynawskiego duchowieństwa — zaczyna się rozglądać za duchem chrześcijaństwa i wówczas wkracza się na zapomnianą drogę katolicyzmu. Innej możliwości po prostu nie ma. Zdaniem Stolpe protestantyzm jako wiara właściwie nie istnieje. Nie można pogodzić z pojęciem chrześcijaństwa enuncjacji wymienionego z nazwiska pastora stokholmskiego, który głosi, że Chrystus był przecie tylko człowiekiem, i który np. uważa, że rozwodom należy zapobiegać przez popieranie małżeństw na próbę. Te jaskrawe przykłady ilustrują jedynie, dokąd prowadzić mogą drogi protestantyzmu. Wspomniany pastor jest — podkreśla Stolpe — z pewnością człowiekiem najlepszych intencji. Zapomina on tylko o roli, jaką w religii odgrywa np. cierpienie, nie widzi całej tej problematyki „trudnego życia chrześcijańskiego", którą z taką siłą i plastyką przedstawiała w swych utworach zmarła niedawno pisarka norweska Sygryda Undset.

Przypomnieć te zapomniane sprawy — oto zadanie, które postawił sobie Stolpe. Przypomnieć np., że małżeństwo to sakrament, że Kościół nikomu nie odmawia prawa do szczęścia, ale że to szczęście trudno budować na laboratoryjnym „wypróbowywaniu" partnerów. Sven Stolpe wydał n.b. w ubiegłym roku powieść o małżeństwie pt. „Sakrament", powieść mającą być może swe słabe strony, ale zachęcającą do przemyślenia pewnych problemów i do dyskusji. Powieść przypominającą.

Sven Stolpe ma swych gorących zwolenników i swych zawziętych przeciwników; nie uchyla się od ciosów, podejmuje dyskusję na te tematy, które uważa za istotne. Dzięki jego talentowi i sile przekonania „zapomnianą drogę" dostrzeże zapewne niejeden wędrujący po drogach współczesności.

Zenon Falk

ROBOTNICZA MŁODZIEŻ KATOLICKA w BELGII

Istniejąca od przeszło dwóch lat na terenie Belgii młoda organizacja „Robotnicza Młodzież Katolicka" — może się poszczycić nielada dorobkiem. Po wstępnym okresie przygotowawczym — pierwsze sekcje RMK zaczęły powstawać w lecie 1947 roku. Od samego początku działalności — rozmach z jakim młoda organizacja przystąpiła do pracy — wzbudzał w społeczeństwie polskim zaufanie i pewność, że będzie to organizacja stojąca zdala od wszelkich sporów, jakie często miały miejsce w Belgii. Stojąc na uboczu, pracą swoją — przekonała RMK wszystkich — przyjaciół i niechętnych — że celem jej jest przede wszystkim praca dla Kościoła i Ojczyzny.

Po pierwszym roku działalności w „terenie" zwołano I-szy Walny Zjazd RMK w sierpniu 1948 roku. Zjazd ówczesny uchwalił Statut RMK oraz ustalił program pracy. 30 delegatów z całej Belgii — reprezentowało kilkuset młodych członków RMK, zorganizowanych w 19 sekcjach. Władze organizacji pochodzące z wyboru rozpoczęły pracę. W czasie drugiego roku istnienia organizacji — a więc w okresie 1948-1949— działalność RMK nie ograniczała się tylko do pracy wewnętrznej lecz obejmowała różne działy, interesujące całe społeczeństwo polskie w Belgii.

W dziedzinie oświaty przeprowadzono specjalne „Dnj Studiów", podczas których wygłoszono i przedyskutowano cały cykl tematów, związanych z ideologią chrześcijańsko-społeczną; brano czynny udział w „Tygodniach Społecznych" organizowanych przez belgijską „J.O.C.". W Okręgu Charleroi — przyczyniła się RMK do prowadzenia trzech polskich szkół powszechnych, opłacając zawodowego nauczyciela. Wystawiono kilkadziesiąt przedstawień teatralnych dla społeczeństwa polskiego oraz specjalnie dla „Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Folkloru" w Brukseli odegrano staropolską „Pastorałkę". W minionym okresie wydawano czasopismo polskie dla młodzieży robotniczej „Myśli i czyny", zawierające dwa specjalne działy: zawodowy i ubezpieczeniowy. Wędrowne biblioteki RMK rozpowszechniały polską literaturę. Zorganizowano w Fontaine l'Evèque specjalny kurs elektro-montażowy dla członków RMK, który ukończyło kilkunastu młodych ludzi. Kurs ten dał nowy zawód grupie młodych ludzi. Pomoc finansowa na powyższy kurs płynęła z I. R. O.

W dziedzinie sportu zorganizowano drużyny siatkówki, koszykówki oraz piłki nożnej. Lekko-atleci po przygotowaniu się przeprowadzili próby na „POS", osiągając wspaniałe wyniki. W okresie letnim zorganizowano Zawody Sportowe o Mistrzostwo Okręgu Charleroi oraz wkrótce potem Igrzyska Sportowe RMK w Liege — o mistrzostwo RMK w Belgii. Udział prawie stu zawodników w Liege oraz osiągnięte wyniki zapewniły członkom RMK honorowe miejsca w tzw. korespondencyjnych zawodach o Mistrzostwo Emigracji (np. Z. Smorawski z Fontaine l'Evéque — 11,1 sek. na 100 m). Igrzyska w Liege zgromadziły ponad 600 widzów.

W lecie 1949 roku zorganizowano Obóz Letni R M K w Waremme, w którym udział wzięło prawie 40 członków RMK.

Praca organizacyjna RMK prowadzona jest przede wszystkim dzięki ofiarności J. E. Ks. Biskupa B. J. Sheil'a, założyciela „CatholicYouth Organization" w Chicago, który stale opiekuje się młodzieżą polską w Belgii, nie szczędząc jej pomocy. W dowód wdzięczności Rada Naczelna RMK nadała Ks. Biskupowi godność Honorowego Prezesa RMK wraz ze specjalną odznaką, wręczoną mu podczas bankietu w Chicago w obecności ponad 1000 osób.

To ustosunkowanie się Księdza Biskupa Sheil'a do sprawy polskiej zawdzięczać należy bezwątpienia przede wszystkim faktowi, że jego osobistym doradcą jest dr Karol Ripa — b. Gen. Konsul R. P. w Chicago, który otrzymał godność Pierwszego Honorowego Seniora RMK.

Dzięki jego pomocy współpraca RMK z potężną „CYO" coraz bardziej rozszerza się i w ten sposób przyczynia się do zacieśnienia stosunków przyjaznych między społeczeństwem amerykańskim i polskim.

Zakończeniem tego okresu pracy był II-gi Walny Zjazd RMK, który odbył się 9 października 1949 roku w Brukseli.

W Zjeździe wzięło udział 40 delegatów, reprezentujących 23 Sekcje RMK oraz ustępujące władze.

Obecność Ks. Rektora Polskiej Misji Katolickiej K. Kubsza wraz z Okręgowymi Kapelanami RMK świadczy o ścisłej współpracy RMK z władzami duchownymi. Opieka, jaką Duchowieństwo darzy tę młodą organizację zapewnia jej stały rozwój i daje pewność, że praca prowadzona jest ściśle według linii wytyczonych przez naukę Kościoła katolickiego w ramach Akcji Katolickiej.

F

II-gi WALNY ZJAZD ROBOTN. MŁODZIEŻY KATOL. W BELGII

Dn. 9 października obradował w lokalu Robotniczej Młodzieży Katolickiej przy rue Defacqz 42 w Brukseli, II-gi Walny Zjazd RMK, skupiający Władze organizacji oraz Delegatów wszystkich Okręgów i Sekcji.

Zjazd rozpoczął się Mszą św. odprawioną przez Ks. Rektora K. Kubsza, podczas której delegaci złożyli uroczyste przyrzeczenie organizacyjne.

Obrady otwarte przez dh. prezesa Gałązkę, rozpoczęły się okolicznościowymi przemówieniami oraz ideologicznym referatem, po którym poszczególne Władze złożyły sprawozdania z rocznej pracy. Dyskusja nad sprawozdaniami i udzielenie absolutorium ustępującemu Zarządowi zakończyły pierwszą część obrad. W drugiej części ustępujący Zarząd przedstawił swoje wnioski odnośnie dalszej pracy, poczem przystąpiono do wyborów nowych Władz, które przedstawiają się jak następuje:

1) Zarząd Główny. Prezes — dh. E. Frycia (Liege) V-prezes — dh. J. Kułakowski (Bruksela) Sekr. Gen. — dh. F. Gałązka (Bruksela), Skarbnik — dh. L. Orłow-Simakowicz (Bruksela), Referent Oświatowo-Kulturalny — dh. mgr. J. Trzciński (Bruksela), Referent Sportowy — dh. J. Goppold (Charleroi).

Sąd Organizacyjny. Dh. dh.— mgr. J. Jędzierowski (Bruksela), B. Lachowski (Charleroi), T. Wittholz— (Charleroi).

3) Główny Organ Kontrolny. — Dh. dh. — F. Heppner (Liege), M. Kubas (Liege), T. Wittholz (Charleroi).

Po wyborach oraz wolnych wnioskach zakończono Walny Zjazd odśpiewaniem hymnu RMK „Błękitne rozwińmy sztandary" i hymnu narodowego. Zjazdowi, w którym wzięło udział 40 delegatów z całej Belgii, przewodniczył dh. J. Majchrzak z Eisden (Limburgia).

PRZEGLĄDY MUZYCZNE

WYZNANIE

MIJA pół roku jak zacząłem regularnie wzbogacać ŻYCIE felietonami muzycznymi: zużyłem dwie i pół butelki atramentu, ponad dwieście kartek papieru, i trzy felietony odrzuciła mi redakcja jako zbyt czerwone, a siedemnaście zostało wydrukowanych.

Takie pisanie co tygodnia przedstawia pewne trudności, a największa z nich to ta, że mając mniej więcej 2.000.000 tematów do swojej dyspozycji, nigdy nie wiem, który z nich wybrać. Dopiero dziś wpadłem na pomysł, ażeby napisać na temat, z którym zderzam się co tydzień: o wartości takiego pisania. I nagle znajduję się z drugiej strony płotu: te uwagi nie są pisane z błogą nadzieją, że ktoś z nich skorzysta ale raczej tłumaczą moje postępowanie.

A więc mamy emigrację, która składa się ze starego pokolenia, całkowicie zajętego przyzwyczajaniem się do zmiany sytuacji, z jaką się spotkała tak późno w życiu, i z młodego pokolenia, kiełkującego na obcej ziemi, które gotowe jest wyrosnąć na Anglików, jeżeli nie uczciwszy uszy, na mieszańców. A jednak nawet asy wśród pesymistów mają nadzieję, że wrócimy kiedyś do Polski. I co wtedy? Czy przyzwyczaiwszy się stać w ogonkach do kina co sobotę, jeździć kolejką podziemną i grać na poolach, potrafimy „być" w Polsce równie swobodnie jak „tamtejsi" Polacy, czy też znowu będziemy musieli się... przyzwyczajać do polskości? Aż zbyt dużo ludzi próbuje rozwiązać tę sprawę przez odmowę przebywania w polskim ghetto, wychodząc z założenia, że każdy **inny** Polak to niegodziwiec, uosobienie wszystkich czarnych spraw charakteru ludzkiego. Uważam więc, że naszą obecną pilną potrzebą jest „zatrzymanie" w sobie polskości.

Nie znam się na gotowaniu, to też nie potrafię powiedzieć jak można najskuteczniej nie odzwyczajać się od polskiej kuchni. Muzyka bardziej leży w moich upodobaniach, to też tym działem się zajmuję. Chcę tym, którzy nie odkryli tej przyjemności powiedzieć, że warto jest jej szukać, a, równocześnie, pragnę ustrzelić drugiego ptaka.

Istnieją w Londynie i na prowincji grupy ludzi, którzy propagują wśród Polaków polską muzykę. Ich poziom muzyczny nie jest najwyższy, ale to mało ważne: jeżeli jestem głodny, nie skaczę kelnerowi do oczu, że mi nie daje kawioru i szampana, a zadowalam się czymś gorszym, nawet byle czym, gdy nie mogę sobie pozwolić na coś lepszego.

Otóż, emigracja narazie uważa, że nawet na to nie może sobie pozwolić. Emigranci uważają, że asymilowanie się do stanu rzeczy, w którym zresztą nie mają nadziei długo przebywać, jest zajęciem całodziennym, a teatr czy muzyka pieniędzy nie dają. To, że kino i dancing pieniędzy również nie daje, jest, wydaje się, inną parą kaloszy.

Jak wszędzie indziej, wśród nas są ludzie, którzy albo wogóle nie odkryli muzyki, albo jej nie doświadczyli. Otóż ja — proszę zauważyć, przez małe j — chciałbym zwrócić uwagę, że poza kinem, piwem i poolami jest parę innych przyjemności, o tyle milszych, że są niezwykle bogate. I mam nadzieję, że ktoś odłoży gazetę, popatrzy na kominek albo barakowy piecyk i mruknie: „Acha, muzyka! Coś takiego słyszałem". Potem może się zainteresuje, posłucha tego, tamtego i wreszcie znajdzie przyjemność w muzyce. A potem przypomni sobie, że polska muzyka ludowa jest rzeczywiście piękna, według mnie po irlandzkiej i włoskiej najpiękniejsza na świecie. Może polskie chóry i — narazie nie istniejąca — polska orkiestra spotkają się z większym zainteresowaniem, będą mogły stanąć na wyższym poziomie. I kiedyś, kiedy wrócimy do domu, zauważymy, że właściwie to życie nie jest tak strasznie puste, a Polaków młodszego pokolenia nie zadziwi fakt, że krakowiak nie przypomina fokstrota.

Tym tłumaczę potrzebę zużycia dwu i pół butelek atramentu.

Natomiast krytyki z koncertów i recitali proszę traktować jako wiadomości do przyszłego użytku: koncert był, skończył się i cokolwiek o nim powiem, w żaden sposób go nie zmienię. Przepowiadać zaś wartości następnego koncertu nie potrafię: proszę zatem dośpiewać sobie te recenzje własnym uchem na przyszłych koncertach.

Tak więc, Drogi Czytelniku, najważniejszą rzeczą w tych felietonach jest ten tytuł na górze: **„Przeglądy muzyczne"**. Proszę go sobie czytać trzy razy dziennie, najlepiej po jedzeniu, a sześć razy w dniu wypłaty.

Jędrzej Hierowski

KOMUNIKAT HARCERSKI

Komitet Wykonawczy Zbiórki na Fudusz Polskiej Młodzieży Harcerskiej, podaje do wiadomości zestawienie rachunkowe na dzień 15 lipca 1949 roku.

W p ł y w y

Wpływy przed rozpoczęciem zbiórki

1. Fundusz Społeczny Żołnierza Oddział Śr.Wsch.	225. 0. 0	
2. Dary różne	1. 0. 0	
Wpływy w okresie zbiórki		
3. Dary, wpłaty na listy zbiórk. oraz dochód z rozprzedaży znaczków	585.10. 1	
4. Dochód z balu	146. 0. 2	
5. Doch.zOgniska H.	3.13.11	961. 4.2
W y d a t k i		
Wydatki administracyjne		
Wynagrodzenia	51.17. 0	
Druki mat.pišm.	44.18. 6	
Opłaty poczt.	8. 6. 2	
Różne	0.17. 6	105.19.2
Nadwyżka wpływów nad wydatkami		855. 5.0.

Komitet serdecznie dziękuje wszystkim ofiarodawcom, którzy przyczynili się do zebrania tej kwoty. Suma ta uchwałą Komitetu z dn.15.7.1949. przekazana została Naczelnictwu ZHR i użyta zostanie na cele Związku.

Kontrolę dowodów kasowych przeprowadzi Komisja Rewizyjna ZHP z udziałem dwu przedstawicieli Komitetu.

Komitet Wykonawczy na zebraniu dnia 15 lipca 1949 roku postanowił rozwiązać się, upoważniając naczelnictwo ZHP do ostatecznego zamknięcia zbiórki.

Komitet prosi o zwrot dotychczas nienadesłanych list i znaczków.

* * *

Naczelnictwo ZHP serdecznie dziękuje wszystkim ofiarodawcom i członkom Komitetu Zbiórki na Fundusz Polskiej Młodzieży Harcerskiej za Ich pomoc i życzliwość dla spraw młodzieży harcerskiej.

Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego

MIĘDZYNARODOWE BIURO POSZUKIWAN IRO AROLSEN/KASSEL, poszukuje!

FUJARCZYK Stefania, ur. w grudniu 1920 w m. Szczurowice, woj. Tarnopol; wywieziona w czerwcu 1942 do Niemiec;

FUKS Jan, ur. 27.3.1924 w Łodzi, ostatnia wiadomość 1944 z Insterburg;

FURDZIK Alfons, ur. 8.1.1931 w m. Szopienice, Polska; ostatnia wiadomość z Rissdorf koło Hohenstein, Sachsen;

FURGALSKI Andrzej Jan, ur. 24.5. 1928 w Warszawie; ostatnia wiadomość 1945 z Hameln/Weser;

FURMANSKI Remigiusz, ur. 1.10. 1913; wywieziony z m. Płudy koło Warszawy; przypuszczalnie do Niemiec albo Austrii;

FURS Zbigniew Franciszek, ur. 20.1. 1926 w Wilnie; przebywa prawdopodobnie w Am. albo Bryt. Strefie Okup. Niemiec;

FURST Leon, ur. 15.3.1898 w m. Strzelce Górne, pow. Bydgoszcz; aresztowany w m. Jachuce koło Bydgoszczy i wywieziony 20.11.1939 w niewiadomym kierunku;

FRANCISZEK Hermann, ur. 1879 w m. Radzymin Podlaski; wywieziony z Warszawy, prawdopodobnie do Niemiec;

GAJOWY Marian, ur. 4.9.1935 w Poznaniu; przebywał ostatnio w Austrii albo Czechosłowacji;

GLINSKI Edward, lat 16, ur. w m. Mierzejki, Polska; przypuszczalnie wywieziony do Niemiec;

GLOWINSKI Franciszek, ur. 5.2. 1905 w m. Podborce; prawdopodobnie dostał się do niemieckiej niewoli; ostatnia wiadomość w maju 1944;

GNALICKI Kazimierz, ur. 15.1.1904 w m. Pokrzywno; wywieziony 1942 do Barnhausen koło Bielefeld, Westfalen, Niemcy;

GOCH Władysław, ur. 1916 w m. Jeropowce; ostatnia wiadomość z okolicy Frankfurt/Oder;

GODLEWSKI Tadeusz, ur. 29.1.1931 w Warszawie; zaginął podczas Powstania Warszawskiego;

GOLARZ Rudolf, ur. 22.9.1909 w Lwowie; dostał się do niemieckiej niewoli; ostatnia wiadomość z Stalagu VI-B;

GOLASZEWSKI Andrzej, ur. 4.8. 1930 w Warszawie; wywieziony podczas Powstania Warszawskiego do obozu konc. Gross-Rosen;

GOLASZEWSKI Bolesław Józef, ur. 19.3.1926; wywieziony podczas Powstania do obozu konc. Stutthof, a później do Neuengame, stamtąd ewakuowany do obozu Ravensbrueck; ostatnia wiadomość z Hoheneichen albo Hohenlychen koło Fuerstenberg Eberswalde;

GOLISZEWSKI Witold Jan, ur. 26.2.1912 w Wilnie; wywieziony podczas Powstania warszawskiego do Neckarelz, stamtąd do obozu konc. Buchenwald, a później do Frankfurt/Main; ostatnia wiadomość w styczniu 1945 z Neckarelz;

GORECKA Renia, ur. 1943 w m. Mołodeczno; wywieziona w lipcu 1944 z matką do Niemiec;

GOZDEK Danuta, ur. 18.10.1940 w Łodzi; dziecko oddano w listopadzie 1940 do sierocińca w Łodzi, a w roku 1942 wywieziono do Niemiec;

GRAB Antoni, ur. 5.4.1924 w Warszawie; był w, obozach konc. Mauthausen i Gusen;

GRODECKI Andrzej, ur. 29.11.1924 w Poznaniu; był w obozie konc. Flossenburg; ostatnia wiadomość z Leitmeritz, Sudety;

GRODECKI Franciszek, ur. 1919 w m. Buczacz woj. tarnopolskie; wywieziony w roku 1942, prawdopodobnie do Niemiec.

PODZIĘKOWANIE MIŁOSIERDZIU BOŻEMU

Zgodnie z przyrzeczeniem składam Miłosierdziu Bożemu i M. Boskiej publiczne podziękowanie za wyraźną opiekę i pomoc, jakich doznałam i doznaję w ciągu ostatnich 4 miesięcy.

Maria Petry

Paryż, 11 XI. 1949.

W ODPOWIEDZI

Niektóre wypowiedzi ŻYCIA wzburzyły ludzi, przyzwyczajonych brać własne zdanie o rzeczy, za normę bezwzględnie obowiązującą wszystkich. Rzecz prosta, każdy ma prawo do obrony i podtrzymania tego, co nazywa swym poglądem. Jeden tylko warunek musi być zachowany: lojalność wobec cudzego zdania. Wydaje mi się, że zapomnieli o tym p. Mackiewicz w swym wystąpieniu przeciw ŻYCIU („Lwów i Wilno", nr. 142 i 143) i p. dr Stahl w swym liście przeciw mnie (ŻYCIE, nr. 47).

Zaczepki osobiste, skierowane przez p. St. Mackiewicza przeciw p. J. Kisielewskiemu i przeciw mnie, pomijam milczeniem; ich bardzo swoisty poziom zwalnia z odpowiedzi. Chodzi o sprawy poważniejsze.

P. Stanisław Mackiewicz powiada:

„Wychodzi w Londynie pismo „ŻYCIE", które tym się różni od wydawnictw na emigracji polskiej w Anglii, że **wciąż doszukuje się podobieństw** (podkreślenie moje) pomiędzy chrześcijaństwem a bolszewizmem". — Na poparcie swego stwierdzenia p. Mackiewicz nie przytoczył (i nie przytoczy!) ani jednego dowodu. A cóż dopiero na udowodnienie owego pensjonarskiego „wciąż".

P. Mackiewicz pisze dalej:

„W ostatnim n-rze owe ŻYCIE (w tym miejscu dziękujemy, że oto nieprzeliczone rzesze Abonentów i Czytelników „Lwowa i Wilna" dowiedziały się o istnieniu „o w e g o" ŻYCIA!) posuwa się tak daleko, że **przeinacza i fałszuje oczywiste tendencje** ostatniego antykomunistycznego dekretu św. Officjum. (podkreślenie moje).

I tutaj pan Mackiewicz zacytował część owego „przeinaczenia" i „fałszu", i potem snuje takie rozmyślania:

„Gdyby istotnie ostatni dekret miał taki sens, jaki mu redaktor „Życia" chce nadać, to otwierałby on szeroko drzwi przed kolaborantami z komunizmem we wszystkich krajach i byłby nie utrudnieniem, lecz zachętą i pomocą dla propagandy komunistycznej. Bolszewicy cieszyli by się wtedy z niego podczas, gdy w istocie po jego ogłoszeniu zapanowało w całym świecie komunistycznym wielkie oburzenie"

Stwierdzam, że p. Mackiewicz przedstawił tę sprawę Czytelnikom „Lwowa i Wilna" niezgodnie ze stanem faktycznym: To bowiem, co nazywa „przeinaczeniem" i „fałszowaniem" przez ŻYCIE Dekretu św. Officjum w tym sensie, że byłby „nie utrudnieniem, lecz zachętą i pomocą dla propagandy komunistycznej", jest podanym przez ŻYCIE **c y t a t e m z.** oficjalnego komentarza Stolicy św. do tego Dekretu, ogłoszonym w „Osservatore Romano".

Cała więc jego wyżej przytoczona recenzja tego cytatu godzi nie w ŻYCIE lecz w Stolicę św.

Odsyłamy Czytelników do n-ru 37 (116) ŻYCIA, w którym ten komentarz przytoczyliśmy. Był on podany przez Stolicę św. w tym celu, aby raz jeszcze, wobec furii komunistów, przypomnieć, że cele Dekretu nie są polityczne, lecz religijne, że więc nie zwracają się przeciw społecznym i politycznym przesłankom komunizmu lecz przeciw ateizmowi komunistycznemu. Dlatego też komentarz podkreślał, że część pierwsza Dekretu, która rzuca ekskomunikę na tych, którzy wyznają i propagują ateizm i filozofię materialistyczną, jest istotna. Albowiem (cytuję komentarz): „W Italii, Belgii, we Francji etc. niemało jest katolików, którzy oszukani obietnicami przywódców komunistycznych lub też powodowani pragnieniem reform społecznych popierają komunizm, nie przyjmując podstawowej doktryny. — Ci ostatni nie podpadają więc pod ekskomunikę. Ale Stolica św. stawia ich wobec ciężkiej odpowiedzialności za udzielanie poparcia zaciekłym wrogom religii chrześcijańskiej oraz spowodu niebezpieczeństwa zatrucia własnego umysłu ideami rozprowadzanymi stale w prasie komunistycznej".

Ponieważ p. Mackiewicz m u s i a ł wiedzieć, że cytuje fragment komentarza Stolicy św., gdyż wziął go z mej odpowiedzi p. Stahlowi, a mimo to ukuł z tego zarzut p r z e c i w Ż Y C I U, iż pismo nasze przeinacza i fałszuje Dekret, pozwolę sobie zapytać Czytelników, ile jest warta polemika, która posługuje się takimi chwytami, i czy dopuszczalna jest metoda, aby osmarować niemiłe sobie pismo, kosztem podania jawnej nieprawdy opinii publicznej?

Niezwykła jest reakcja na list zamieszczony w ŻYCIU „Kim był Lenin". Otóż p. Mackiewicz przeoczył „drobną" a istotną okoliczność, że był to właśnie l i s t do Redakcji. Dział ten w każdym piśmie ma swoje specjalne prawa, a jak Czytelnicy nasi od lat wiedzą, rubryka ta w ŻYCIU cieszy się wielką tolerancją.

W liście naszego Czytelnika, który przynosił bardzo istotne uwagi, ta wiadomość była zarejestrowana z zastrzeżeniami. Kucie z tego zarzutu przeciw ŻYCIU, że wybiela bolszewizm, ponieważ pisze o geniuszu umysłowym Lenina (Pius XI nazwał go „genialnym geniuszem", a nie przeszkodziło mu to w niczem osądzić bolszewizm w taki sposób, jak tego nie uczynił nikt przed nim ani po nim), oraz o jego spowiedzi, byłoby równie frapujące jak, na przykład, twierdzenie, że Ewangelista wybiela rozbój i morderstwa, bo przekazał słowa Jezusa zwrócone do Ł o t r a, który kradł i zabijał: „Dziś jeszcze będziesz ze mną w raju".

A teraz kilkanaście zdań p. dr. Stahlowi. (Na jego zaczepki i komiczne aluzje, skierowane pod moim adresem, nie mam oczywiście zamiaru odpowiadać).

P. Stahl pisze w swym liście równie rewelacyjne rzeczy, jak ów cytat z Goethego, na który się zdobył. Ciekaw jestem, kogo ten publicysta chce przekonywać, mówiąc o rzeczach znanych, niestety, każdemu polskiemu dziecku, — o zbrodniach, jakich dokonał bolszewizm w Rosji i na tych, którzy mieli straszliwe nieszczęście dostać się pod jego panowanie. Czy autorzy artykułów, którzy — łącznie z p. Stahlem — na te tematy w ŻYCIU pisywali, przeczyli kiedykolwiek takim faktom?

W pewnym miejscu p. Stahl powiada:

„Red. Tokarski robi na łamach ŻYCIA od miesięcy systematyczną propagandę, by podzielić włos na części i przekonać czytelników, że komunizm, choć wyklęty przez Stolicę Apostolską, jest przecież sektą chrześcijańską, a emisariusze bolszewiccy nieśli słowo Boże do stóp Himalajów, jak to wyczytał w pewnej pięknej... powieści" etc.

P. Stahl i inni zdają się nie wiedzieć pewnej rzeczy elementarnej a bardzo ważnej: że określenie „sekta chrześcijańska" w piśmie katolickim nie oznacza bynajmniej... pochwały. „Sekta chrześcijańska" — to nie jest sektor chrześcijański.

Kiedy bowiem mowa o społecznych czy politycznych przesłankach komunizmu, jest to zawsze teren dyskusji, pole zmian możliwych itp.

Tutaj taktyka bolszewicka się zmienia, mogą się zmieniać zasady polityczne, prawne, ustrojowe, gospodarcze itd. jak o tym świadczy rzeczywistość komunistyczna. To też właśnie co dla katolika w tym wypadku jest rozstrzygające, kilkakrotnie podkreślił rzecznik Stolicy św. wskazując, że dekret nie dotyczy tych właśnie stron komunizmu, lecz że sięga po rzeczy ostateczne i ratuje człowieka przed runięciem na samo dno, gdzie nie ma żadnych wartości broniących nieskończonej godności duszy ludzkiej. Dekret traktuje to oblicze doktryny: ateizm i filozofię materialistyczną, jako najgroźniejszą sektę czasów dzisejszych, a ostrzegając i odłączając, broni godności człowieka jako dziecka Bożego, przed odzieraniem go przez komunizm z tego, co tę godność najwyższą gwarantuje i poręcza — Boga. Zgodnie ze źródłosłowem „sekta" jest to to, co jest „odcięte". Jest to ostrzeżenie, a nie pochwała (— to jednak bardzo krępujące tłumaczyć rzeczy tak zdawałoby się oczywiste!), wskazanie na dno, a nie na wspólną płaszczyznę, wskazanie na tę różnicę między komunizmem a chrześcijaństwem, która jest **jedynie** istotną: na różnicę o — Boga.

Z tym wszystkim jednak można o bolszewiźmie mówić jako o sekcie chrześcijańskiej dla tej przyczyny, między innymi, że od rozdziału czasów przez Odkupienie i Chrześcijaństwo każdy nurt i prąd działania i myśli ludzkiej jest, mówiąc językiem tomistycznym — i n f o r m o w a n y, jest kształtowany przez chrześcijaństwo; żyje pod jego nadprzyrodzonym dachem i w jego przyrodzonej atmosferze. Nie ma dziś ucieczki od Chrześcijaństwa, istnieją jego postaci nawet w jego najgwałtowniejszych negacjach, czego oczywiście, sądzę, nikt nie zechce zrozumieć jednoznacznie, w sensie tożsamości.

Ale... to po prostu nieprawda, że o tym „od miesięcy" przekonywałem Czytelników ŻYCIA! Nie napisałem na ten temat ani jednego artykułu, a nawet (wyjąwszy to, co przed chwilą) — ani jednego zdania. Jawną nieprawdą również jest, bym miał na swym koncie sentymentalny frazes o tych emisariuszach bolszewickich ze „słowem Bożym" u stóp Himalajów...

P. Stahl zdenerwował się bardzo stwierdzeniem „Osservatore Romano", że komunizm, sprowadzony do swej zasady gospodarczej, po odrzuceniu jego ateizmu i flozofii materialistycznej, nie jest tak sprzeczny z chrześcijaństwem jak kapitalizm, które to zdanie przytoczyłem w swym artykule (ŻYCIE, nr. 39). Szkoda wielka, że p. Stahl nie pisze także swych listów do dziennika watykańskiego i nie **czuwa nad linią tamtego** pisma równie gorliwie, jak nad naszą. Byłoby to bardzo interesujące widowisko. Zamiast tego p. Stahl woli tak **ustawiać sprawę, mimo, iż** wie o pochodzeniu tego „gorszącego" cytatu, jakby to ŻYCIE ogłosiło nagle jakąś niebywałą herezję, „aby osłabić wolę walki o ideały chrześcijaństwa". Nie wiem, czy jest to chwyt szczególnie uroczy.

Było by może dobrze, gdyby p. Stahl przeczytał pewną wielką prawdę, jaką napisał p. Mackiewicz, mianowicie, że „komunizm jest światopoglądem moralnym". — Dosłownie to samo powiedział Pius XII. Dlatego właśnie w „Osservatore Romano" ukazał się cykl artykułów, dowodzących, że komunizmu nie zwalczy się bezsilnymi obelgami, armatami i bombą atomową, bo ze światopoglądem walczy się światopoglądem, z ideą — ideą, a z realizacjami komunistycznymi — **realizacjami** chrześcijańskimi.

I to jest dla nas istota zagadnienia.

Jan Tokarski

Z LISTÓW DO REDAKCJI

Domini-canes

Szanowny Panie Redaktorze!

P. Uniborski (pseudonim bodaj) pisze w Nr. 186 „Wiadomości": „W tym czasie znalazł się kandydat na ojca kościoła — na ojczyma — z zakonu Domini-canes, więc „psów bożych", Inocenty Bocheński, który w Leninie dojrzał pierwiastek zbawienia gospodarczego..." W dalszym ciągu tego samego artykułu znajduję zwrot „tomizm moskiewski", mający zapewne oznaczać moje poglądy.

Pozostawiając moralną i rzeczową ocenę tej wzmianki innym, chciałbym prosić Pana Redaktora o pozwolenie skorzystania z niej, celem ogłoszenia paru słów propagandy dla Zakonu.

Nazwa „dominikanin" brzmi po łacinie „dominicanus" (druga deklinacja), a więc w liczbie mnogiej „dominicani" nie „dominicanes"; pochodzi ona od imienia św. Dominika, które to imię znaczy po łacinie tyle co „należący do Pana". Ten piękny tytuł nie jest wyłącznym przywilejem Zakonu, bo każdy chrześcijanin należy do Pana. Ale Zakon jest jednym z wielkich narzędzi pracy Kościoła nad zbawieniem świata; zarazem wnosi on do skarbnicy chrześcijańskiego ducha czynnik, który w szczególniejszy sposób reprezentuje: nieugiętość umysłowego przywiązania do Prawdy. „Prawda" jest dewizą Zakonu.

Wydaje mi się, że tego czynnika niekiedy nam, Polakom, brakuje: nasze życie religijne jest zbyt często życiem wyłącznie uczuciowym. W każdym razie nie może być pełnego życia katolickiego bez niego i byłoby rzeczą bardzo dla naszej kultury ważną, gdyby także uchodźtwo polskie miało swoich dominikanów. Niech wolno mi więc będzie zwrócić się z apelem o powołania. Nie chcę kryć, że jest to powołanie trudne; ale mogę zapewnić tych, którzy je wybiorą, że znajdą w nim, o ile zechcą oddać się służbie Bożej bez zastrzeżeń, radość i piękno, o którym może nie marzyli nawet na świecie.

Młodzi ludzie, którzy zastanawiacie się nad wyborem stanu pomyślcie o dominikańskim powołaniu!

Racz Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy wysokiego szacunku.

I. M. Bocheński O.P.

STARE KLISZE – NOWE CZASY

W TEDY, kiedy propaganda Kominformu wykorzystuje zręcznie wystąpienia na arenie światowej komunistów, przedstawiając ich jako obrońców pokoju, zaledwie małe wzmianki prasa zachodnia poświęciła doskonałemu przemówieniu szefa delegacji amerykańskiej na Zgromadzeniu Zjedn. Narod. w Lake Succes p. Warrena R. Austina. Odpowiadał on Wyszyńskiemu, oskarżającemu Mocarstwa Zachodnie o podżeganie do wojny i ofiarowującemu wspaniałomyślnie zawarcie nowego paktu pokoju.

P. Austin wygarnął bez ogródek, co Stany Zjedn. myślą obecnie o wartości sowieckiego słowa i podpisu. „Co tu mówić, oświadczył on, o czasach dawniejszych, co tu wspominać o pakcie przyjaźni, zawartym z nazistowskimi Niemcami, czy o losie paktów o nieagresji, zawartych z Finlandią, Łotwą, Estonią czy Litwą. Wystarczy spojrzeć na listę złamanych sowieckich przyrzeczeń od czasu, kiedy tu razem z nimi powołaliśmy do życia organizację Zjednoczonych Narodów".

Po kolei p. Austin wyliczył sowieckie przewinienia:

1. Dobranie sobie posłusznych rządów w Polsce, Bułgarii, na Węgrzech i w Rumunii, wbrew układom przewidującym wolne wybory w tych krajach.
2. Zrabowanie Mandżurii.
3. Podział Korei.
4. Wywołanie walk partyzanckich w Grecji.
5. Stałe groźby pod adresem Turcji.
6. Pozbawienie Czechosłowacji wolności.
7. Zniszczenie demokratycznej opozycji w Bułgarii, na Węgrzech i w Rumunii.
8. Podporządkowanie sobie Polski „do stopnia, który pozwala zainstalować na fotelu ministra obrony marszałka czerwonej armii".
9. Próba usunięcia zachodnich mocarstw z Berlina przy zastosowaniu środków opartych na sile.

P. Austin, pamiętając zapewne o błędach polityki Stanów Zjedn. na Dalekim Wschodzie, wolał o przeobrażeniach, dokonanych przez Moskwę w Azji nie wspominać! Tchórzostwo jest tak powszechne, „pacyfizm" na Zachodzie tak zakorzeniony, a wpływy piątych kolumn sięgają tak daleko, że przemówieniu p. Austina nigdzie nie nadano rozgłosu.

M IELIŚMY już w ostrych sporach w Stanach Zjedn. między admiralicją i lotnictwem i admirałów między sobą próbkę do jakiego stopnia skłócone być mogą organy, na których barkach spoczywać będzie odpowiedzialność za losy świata w godzinie X. Do przykładów takich przybywa nowy. Marszałek Montgomery wyjechał 16 listopada do USA z apelem, by Stany Zjedn. wzmocniły siły obronne, którymi dysponuje Zachodnia Europa. Tego samego dnia 16 listopada odbywało się w Londynie pod przewodnictwem amerykańskiego ambasadora posiedzenie, na którym wojskowi przedstawiciele W. Brytanii, Belgii, Francji, Holandii i Luksemburga omawiali sprawy, związane z podziałem broni przyznanej Europie przez uchwały Kongresu. Jak widać odbywało się ono w nieobecności Szefa Sztabu obrony Europy. Nie dziwi nas to, gdyż z artykułu w paryskim wydaniu „New York Herald Tribune" dowiadujemy się o innym celu podróży brytyjskiego marszałka. Chodzi mu o uzyskanie poparcia dla usunięcia ze stanowiska przyszłego dowódcy wojsk lądowych w Europie i członka Głównego Sztabu w Fontainebleau generała Jean de Lattre de Tassigny. Ci dwaj panowie wzajemnie się nie znoszą i każde ich spotkanie wywołuje zgrzyty.

Opinia francuska jest bardzo krytycznie nastawiona w stosunku do marsz. Montgomery, to też jest mało prawdopodobne, by zabiegi jego odnieść mogły skutek. Pismo amerykańskie zaznacza, że niedaleka już dla obu generałów prekluzvina granica wieku kres wkrótce położy ich rywalizacji.

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt t y l k o od godz. 3.30 — 4.30. po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P r e n u m e r a t a płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelk i e w p ł a t y przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed", wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej Do zbierania ogłoszeń upoważniona jest wyłącznie firma The Carlton Berry Co Ltd., Grand Builgings, Trafalgar Sq., W.C. 2. Tel: ABB 5108.

Printed by: „Veritas Foundation Press" 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.